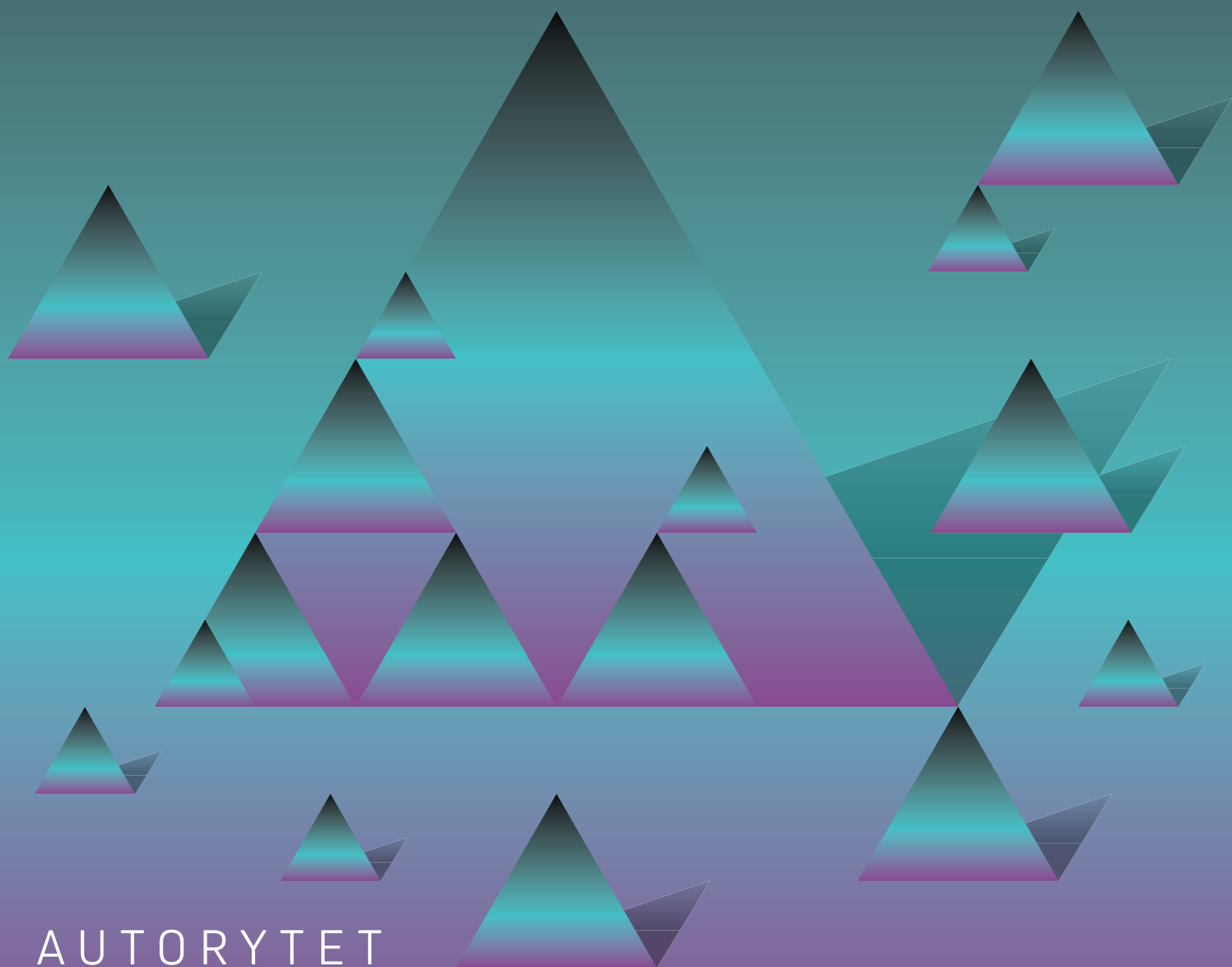


VarArt

pismo kulturalno-literackie
NR 02/2018 (39)

WOJEWÓDZKA BIBLIOTEKA
PUBLICZNA w OLSZTYNIE

www.wbp.olsztyn.pl



AUTORYTET



ISSN 2080-1483

STANISŁAW CZACHOROWSKI

Portret samotnej matki na trawniku

Wiosną myślimy o kobietach. W kwiaciarni pojawiają się tulipany, w przyrodzie zaczynają kwitnąć leszczyna, przebiśniegi, zawilce. Ze snu budzą się motyle cytrynki latolistki. Najpierw pojawiają się samce. Samiczki potrzebują odrobinę więcej ciepła... Kobiętom, szarmancko, 8 marca wręczamy kwiaty, czasem rajstopy i... do garów. Kobięty oczywiście. Po świętowaniu wraca proza życia.

Wczesną wiosną pojawiają się pszczołowate: pszczoły samotnice, trzmiele itd. Przed moim blokiem pojawiła się pszczolinka, która nawet polskiej nazwy nie ma – *Andrena clarkella*. Nawiązując do starczych synonimów, można byłoby ją nazwać pszczolinką nieparką lub pszczolinką trójbarwną. Samotna matka wychowująca dzieci. Na jej głowie utrzymanie gatunku. Podobnie u trzmieli (społeczne pszczołowate) ta pierwsza, wiosenna samica staje się królową. A samce? Pojawiają się na krótko, trutnie jedne, i tylko jedno im w głowie. Amory. Niewielu się udaje, inne bżyczą nadaremno.

Samice pszczolinek, pszczoł i trzmieli pracowicie zbierają pyłek kwiatowy i nektar. Można w przenośni powiedzieć, że są „przy garach”. W naszej kulturze dajemy tej czynności niską rangę, podrzędną.

W tym roku świętujemy 100-lecie nabycia praw wyborczych przez kobiety w Polsce. Uzyskały je jako jedne z pierwszych w Europie. Czemu tak późno? Lub czemu w ogóle? Jeszcze do połowy XX wieku podkreślano, że kobiety mają mniejszy mózg niż mężczyźni. W domyśle są mniej inteligentne. Zatem nie powinny mieć ani praw wyborczych (polityka to nie na ich głowę), ani takich samych zarobków co mężczyźni. Kobięty do garów? Tak jak u pszczołowatych?

Biolodzy ewolucyjni śledzili wzrost wielkości czaszki (a więc i mózgu) u naszych przodków. Zakładano, że większy mózg to i większa inteligencja. Okazało się jednak, że w przeszłości mózg rósł, a narzędzia pozostawały takie same. Gdzież więc ta domniemana, większa inteligencja? Najwyraźniej pojawiła się przy okazji ewolucji hominidów i to nieco później. Jak więc wytłumaczyć powstanie dużego mózgu człowieka? Jedną z koncepcji jest mózg społeczny: więcej neuronów potrzebne było naszym przodkom do... utrzymania szerszych i bogatszych relacji między osobnikami w grupie (kontakty społeczne). Większa grupa to większy sukces i możliwość pokonania nie tylko przeciwności losu, lecz także i konkurentów z innych hord (grup, plemion). Tak odkryto inteligencję społeczną. I okazuje się, że kobiety są w tym lepsze...

Powstanie mowy uważane jest za jedną z ważniejszych innowacji w ewolucji człowieka. Umożliwia ona utrzymanie więzi i relacji w dużych grupach. Tak zwane kobiece plotki są bardzo ważne w utrzymywaniu relacji międzyludzkich. Mężczyźni są stanowczo bardziej milczący. I silniejsi fizycznie.

Kolejną bardzo ważną innowacją była termiczna obróbka pokarmu. Czyli gotowanie, pieczenie, przyrządzanie go w ognisku i w „garach”. Można śmiało powiedzieć, że gotowanie stworzyło człowieka. Niewątpliwie wielką w tym zasługa kobiet. Dochodzimy

do analogii z samicami pszczołowatych i wiosennej pszczolinki oraz trzmieli.

Skoro kobiety tak dużo wniosły w rozwój człowieka jako takiego i ludzkości jako zbiorowości, to dlaczego tak późno panie otrzymały prawa wyborcze? Bo mężczyźni są silniejsi i stworzeni do spraw „zewnątrznych”?

W nowej ustawie o szkolnictwie wyższym zanosilo się na dużą zmianę: zrównanie wieku emerytalnego nauczycieli akademickich – kobiet i mężczyzn. Ale ostatnie poprawki zmianę te usunęły. Kobięty naukowcy na emeryturę przejdą jak do tej pory w wieku 60 lat, panowie w wieku 65. Przecież kobiety statystycznie żyją dłużej. To raczej powinno być odwrotnie. Krótszy wiek pracy to uznanie czy dyskryminacja? W każdym razie marnotrawstwo dużego potencjału wiedzy i doświadczenia.

Kobięty mają głos (wyborczy). Już od stu lat. A w zasadzie to „od zawsze”. Mimo że są „przy garach”. A ja tymczasem wracam do wiosennych obserwacji owadów zapylających. Samice pszczołowatych się krzątają. Bez ich pracy nie byłoby owoców, z których tak obficie czerpiemy. A żeby im się dobrze żyło, potrzeba nie jednego kwiatka na 8 marca, ale całorocznej łąki kwiatowej. W mieście. W każdym mieście.



Rys. Karolina Lewandowska

02 KIJ W MROWISKO

STANISŁAW CZACHOROWSKI: Portret samotnej matki na trawniku

04 WYWIADZ MARIĄ URBANEK rozmawia KRZYSZTOF D. SZATRAWSKI
O autorycie muzycznym, o pracy i życiu Romana Urbanka**07 PROZA**

JOHN GUZŁOWSKI: Moja matka wspomina śmierć swojej matki

08 POEZJA

JOHN GUZŁOWSKI

10 PROZA

TOMASZ BIAŁKOWSKI: Kobieta (fragment powieści)

12 PROZA

KAZIMIERZ BRAKONIECKI: Paryż (fragment)

14 POEZJA

PIOTR PIASZCZYŃSKI

15 RECENZJA

EWA TONIAK: Po-twarz i od-twarzanie

16 GALERIA

ROBERT LISTWAN

18 HISTORIA PEWNEGO DOMU

JOANNA MILEWICZ: Stąd jest blisko do NY

20 RECENZJA

ANITA ROMULEWICZ: Wszystko zaczęło się od wilka

21 LITERATURA

PIOTR PRZYTUŁA: Struktura autorytetu

22 WYDARZENIE

ANDRZEJ FABISIAK: Laudacja na cześć artystów

24 WYWIADZ GRZEGORZEM GROMKIEM rozmawia JOANNA CIEŚLIŃSKA:
Nie narzucamy sobie żadnych ram**25 RECENZJA**

KATARZYNA GUZEWICZ: Przewrotność

26 WYWIAD

STUDENCI DZIENNIKARSTWA na temat KRYZYSU AUTORYTETU

27 MUZYKA

KRZYSZTOF D. SZATRAWSKI: Muzyka religijna XXI wieku

28 INICJATYWA

STANISŁAW TARASEWICZ: Stowarzyszenie im. Arno Holza

30 FELIETON

MAREK BARAŃSKI: Nić Ariadny, czyli kłębk Jafowca

31 PIOSENKI

SŁAWOMIR PRABUCKI

W czasach gdy wiedzę, pomysły na życie i odpowiedzi na niemal wszystkie pytania odnajdujemy w Internecie, zastanawiamy się: Czy autorytety pełnią jeszcze jakąś funkcję w naszym życiu? Czy potrzebujemy odpowiednika królowej pszczół, opiekunki roju, która pojawia się w tekście Stanisława Czachorowskiego? W niniejszym numerze zauważycie wyraźne różnice pokoleniowe. Studenci dziennikarstwa i Jacek Dukaj – przedstawiciele młodego pokolenia – opowiadają o kryzysie autorytetu, i wręcz odrzucają go na rzecz własnego rozumu i sumienia. Przedstawiciele starszego pokolenia wskazują na mentorów z różnych dziedzin sztuki – muzyki, malarstwa czy literatury – Krzysztof D. Szatrawski i Maria Urbanek wspominają Romana Urbanka, Kazimierz Brakoniecki rozprawia o Picassie, Matissie i Beckmannie, a Andrzej Fabisiak prezentuje dokonania artystyczne Mirosławy Smerek-Bieleckiej i Jerzego Bieleckiego.

A że literatura często bywa dla ludzi autorytetem, w „VariArcie” znajdziecie oczywiście poezję (polską Piotra Piaszczyńskiego i Sławomira Prabuckiego oraz amerykańską z polskim akcentem Johna Guzłowskiego) i prozę (fragment powieści Tomasza Białkowskiego). W galerii umieściliśmy portret autorstwa Roberta Listwana „My idols are dead” przedstawiający Chopina „bez twarzy”. Czy można lepiej zilustrować i zamknąć ten numer? Podobno „autorytet polega przede wszystkim na rozsądku”... Kończąc więc słowami Króla z „Małego Księcia”, autorytarnie życzymy dobrej lektury.

Redakcja

VariArt

VariArt. Pismo kulturalno-literackie. ISSN 2080-1483
Nr 02/2018 (39)

Wydawca:

Wojewódzka Biblioteka Publiczna w Olsztynie
10-117 Olsztyn, ul. 1 Maja 5; tel. 89 524 90 32; e-mail: wbp@wbp.olsztyn.pl

Współwydawca:

Warmińsko-Mazurskie Stowarzyszenie ARESZT SZTUKI
<http://aresztsztuki.wixsite.com/olsztynart>; e-mail: aresztsztuki@gmail.com

Zespół redakcyjny:

Iwona Bolińska-Walendzik, Joanna Cieślińska, Urszula Maciąg, Anna Rau,
Anita Romulewicz, Krzysztof D. Szatrawski
e-mail: variart@wbp.olsztyn.plOkładka: Przemek Kozak, skład: Karolina Lewandowska
Druk: „Gutgraf” Zakład Poligraficzny Marian Świniarski OlsztynZrealizowano przy współudziale finansowym
Samorządu Województwa Warmińsko-Mazurskiego

Z MARIĄ URBANEK rozmawia KRZYSZTOF D. SZATRAWSKI

O autorytecie muzycznym, o pracy i życiu Romana Urbanka

Roman Urbanek był dyrygentem Olsztyńskiej Orkiestry Symfonicznej, dyrektorem Szkoły Muzycznej, prezesem Stowarzyszenia Miłośników Muzyki oraz powszechnie znanym i cenionym popularyzatorem kultury muzycznej. Pani małżonek był osobowością niezwykle, autorytetem w olsztyńskim środowisku muzycznym, a przy tym człowiekiem zarażającym innych swoim entuzjazmem. Poznali się Państwo w Olsztynie?

Poznaliśmy się w Olsztynie. Po studiach poligraficznych, które ukończyłam w Moskwie, trafiłam do pracy w Olsztyńskich Zakładach Graficznych, które wówczas mieściły się w centrum miasta, niedaleko od Ratusza, przy ulicy 22 stycznia. Pracowałam jako szef produkcji, a Roman Urbanek, który był dyrektorem Olsztyńskiej Orkiestry Symfonicznej, przychodził do drukarni, aby uzgodnić szczegóły zamawianych u nas plakatów. I tak się poznaliśmy. W tym czasie mieszkał przy ulicy Jagiellońskiej.

To był pokój służbowy w siedzibie orkiestry?

Tak, jako dyrektor orkiestry mój przyszły mąż mieszkał najpierw w pokoju służbowym, a stołował się u zakonnic. Koncerty w tym okresie odbywały się w Teatrze Jaracza. Po ślubie dostaliśmy mieszkanie w pierwszym olsztyńskim „wieżowcu” przy ul. Grunwaldzkiej. Był to pierwszy w Olsztynie budynek z windą, która stała się atrakcją przyciągającą dzieci z całego miasta. Później, kiedy miała przyjść na świat

Agnieszka, mieszkanie stało się za małe i przeprowadziliśmy się do nowego mieszkania przy ulicy Profesorskiej.

Był pierwszym w Olsztynie muzykologiem, a przy tym dyrygentem dbającym o rozwój repertuaru i skład orkiestry. Wśród uczniów krążyła legenda, że ma również wykształcenie prawnicze i stąd niezwykle umiejętności retoryczne.

To wyłącznie legenda. Mąż ukończył dwa kierunki studiów, muzykologię studiował w Uniwersytecie Adama Mickiewicza, a dyrygenturę u Bohdana Wodiczki. Natomiast prawa nie studiował, a zdolności retoryczne były częścią jego osobowości – on po prostu miał to coś, co pozwalało mu niezwykle łatwo nawiązywać kontakt z publicznością, odziedziczyła to córka Maja, która była profesorem wokalistyki w Akademii Muzycznej w Poznaniu (syn, Maciej, skończył Akademię Muzyczną w Warszawie w klasie skrzypiec). Poza tym mąż do każdego wystąpienia bardzo solidnie się przygotowywał. W mojej pamięci utrwalił się obraz męża w otoczeniu książek i partytur. Ale najważniejsze było rzeczywiście to, że mąż umiał przekonująco mówić i nawiązywać kontakt z ludźmi.

Czy ta umiejętność ujawniła się w okresie dyrektorowania orkiestrze?

Stało się to znacznie wcześniej. Już jako student muzykologii w Poznaniu, mąż wygłaszał prelekcje przed koncertami. Poznał w tym okresie mnóstwo muzyków i dyrygentów,

Fot. z archiwum Marii Urbank





Fot. z archiwum Marii Urbanek

przyjaźnił się między innymi ze Stefanem Stuligroszem, co później miało duże znaczenie w rozwijaniu kontaktów artystycznych i profesjonalnych w okresie, kiedy mąż był dyrektorem Orkiestry Symfonicznej i Szkoły Muzycznej.

Kontakty zawsze były ważne, zwłaszcza kiedy orkiestra dopiero zdobywała własną pozycję. Zdobycie środków na funkcjonowanie i rozwój orkiestry, a później także szkoły, wymagało wielu zabiegów i zmagañ?

Z mojego punktu widzenia mężowi przychodziło to dosyć łatwo. Może dlatego, że umiał sobie zjednywać ludzi, od których zależał rozwój instytucji, umiał ich w rozmowie przekonać, że jest to ważne i konieczne. Przedstawiał argumenty, зараżał ludzi entuzjazmem i przynosiło to rezultaty. A może najważniejsze jest to, że umiał tworzyć zespół, z którym pracował. Do dziś spotykam na koncertach muzyków, których mąż sprowadził do Olsztyna. I nie dotyczy to tylko orkiestry. Ważni byli też zastępcy. W okresie pracy z orkiestrą drugim dyrygentem był Tadeusz Babiński, a jako dyrektor Szkoły Muzycznej mąż stanął na czele świetnego zespołu ze wspaniałymi wicedyrektorami Zdzisławem Wyloniem i Anną Dziatką — to było wyjątkowe trio, młodzi, pracowici i niesłychanie kompetentni.

Wróćmy jeszcze do wczesnych lat sześćdziesiątych. Praca Romana Urbanka to w dziejach olsztyńskiej orkiestry okres przełomowy, pierwsze wykonanie serii symfonii Beethovena i pierwsze koncerty zagraniczne w Kaliningradzie.

Nie pamiętam koncertów w Kaliningradzie, pamiętam natomiast, że mąż często z orkiestrą podróżował. W okresie letnim orkiestra grała na przykład w Łądku Zdroju czy Ciechocinku. Zespół koncertował w Sudetach, a przy okazji wypoczywał. Poza tym mąż zapoczątkował gościnne koncerty dyrygentów zagranicznych z Czech, Bułgarii, Niemiec, a także cykle koncertów monograficznych.

To Roman Urbanek wprowadził typowy układ koncertów symfonicznych.

Tak, pamiętam, że koncerty w Teatrze Jaracza miały właśnie taki typowo symfoniczny charakter. Mąż zawsze mawiał, że brakuje mu muzyków w kwintecie. Mieliśmy świetną sekcję dętą, a skrzypków zawsze brakowało, po prostu Olsztyn nie miał wystarczająco wielu miejsc pracy dla skrzypków, a wyłącznie z pensji muzyka orkiestrowego trudno było się utrzymać.

Mimo to zawsze spoglądano w przyszłość, czego wyrazem był koncert kompozytorski i przyjęcie przez orkiestrę imienia Feliksa Nowowiejskiego.

O przyjęciu przez orkiestrę imienia Feliksa Nowowiejskiego mąż mówił często. Był to ważny moment i bardzo starannie przygotowane wydarzenie. Obecna była rodzina kompozytora, długo je w Olsztynie wspomniano. Pamiętam, że utwory Nowowiejskiego mąż dyrygował wiele razy, najczęściej chyba uverturę „Legenda Bałtyku”, która była często w repertuarze.

Szczególna pozycja Nowowiejskiego w Olsztynie była wynikiem współdziałania muzykologów i nauczycieli Szkoły Muzycznej — od strony historycznej autor monografii Nowowiejskiego Jan Boehm, od strony artystycznej dyrygent Roman Urbanek.

Ważną rolę w organizacji wielu przedsięwzięć odgrywała także ówczesna dyrektor szkoły Iza Garglinowicz. Tak, te trzy osoby umiały ze sobą pracować i świetnie się uzupełniały.

Fenomenalnym wydarzeniem była konferencja naukowa zorganizowana w Szkole Muzycznej w 90. rocznicę urodzin Nowowiejskiego. Oto szkoła drugiego stopnia zorganizowała konferencję, jakiej nie powstydziłyby się najpoważniejsze ośrodki akademickie.

Szkoła Muzyczna w tamtym okresie była oczkiem w głowie. Całe środowisko skupione było wokół szkoły. W latach sześćdziesiątych mieściła się jeszcze na Nowowiejskiego i panowała w niej atmosfera wręcz rodzinna. Dzięki staraniom dyrektor Izzy Garglinowicz powstał nowy gmach szkoły, który dał nowe możliwości rozwoju zarówno szkole, jak i całemu środowisku. Dlatego też można było sobie pozwolić na rozwijanie akcji propagowania muzyki w różnych środowiskach. A była to działalność, w którą mąż zawsze się angażował.

Całe pokolenia olsztynian, ale także mieszkańcy innych miast województwa kojarzą Romana Urbanka ze znakomitymi audycjami i prelekcjami, prowadzonymi z ogromnym zapałem i ze swadą.

W momencie kiedy mąż został prezesem Stowarzyszenia Miłośników Muzyki, większość muzyków, których zapraszał z zewnątrz, pochodziła z Poznania. Organizowano koncerty,

cała działalność podporządkowana była idei promowania kultury muzycznej. A jak już wspominałam, mąż łatwo nawiązywał kontakty, miał zdolność przekonywania ludzi. I to była cecha, dzięki której mógł propagować muzykę, osiągając sukcesy. Traktował to niezwykle poważnie. Przygotowywał się solidnie i występował wszędzie, obojętne, czy było to w przedszkolu, czy w sali gimnastycznej, i każdą publiczność traktował tak samo poważnie. A publiczność przyjmowała go z ogromną sympatią. Wiele osób zapamiętało Romana Urbanka jako Wujka Bemola.

Pamiętam nie tylko prelekcje Romana Urbanka poświęcone historii muzyki, lecz także jego znakomite audycje dla młodzieży poświęcone instrumentom. Na jakim instrumencie grał Roman Urbanek?

Na wszystkich po trochu, ale na żadnym nie grał szczególnie dobrze. Był typem znawcy, chociaż, co ciekawe, w domu muzyki nie słuchał. Wolał w ciszy i skupieniu studiować partytury... Jednak zadbał o edukację muzyczną dzieci. Pamiętam, jak Maciek nie chciał ćwiczyć, mąż konsekwentnie go zachęcał i wspierał, aż syn poszedł na studia. Później został skrzypkiem w Narodowej Orkiestrze Kameralnej w Tuluzie. Córka Maja po ukończeniu szkoły podstawowej nie chciała kontynuować nauki, śpiewała w harcerskim

zespole Arabeska, który przez lata prowadził Janusz Laddy, ale później wybrała studia wokalne i w końcu została profesorką wokalistyki. Romek na pewno byłby bardzo dumny z obojga dzieci...

Tysiące prelekcji i audycji muzycznych, prelekcje przed koncertami symfonicznymi – obok działalności artystycznej, pedagogicznej i organizacyjnej, był to czwarty obszar aktywności Romana Urbanka.

Często myślę, że był to obszar najważniejszy. Mąż podchodził do tego bardzo poważnie, robił to z pasją i czerpał z tego ogromną satysfakcję. Moim zdaniem obecne dokonania olsztyńskich muzyków, działalność naszych instytucji muzycznych to spełnienie marzeń, którymi kierowali się mój mąż i duże grono osób, z którymi współpracował. I kiedy dzisiaj patrzę, jak świetnie działa filharmonia w nowym gmachu, a kolejne koncerty wykonywane są przy wypełnionej sali, jak znakomicie pracuje szkoła pod kierownictwem pani dyrektor Teresy Taradejny, mam uczucie dumy, że mój mąż również przyczynił się do rozwoju kultury muzycznej miasta i regionu, a przede wszystkim do umuzykalnienia naszego społeczeństwa.

Dziękuję za rozmowę.

Fot. z archiwum Marii Urbanek: Izabella Garglinowicz, Mirosław Dąbrowski, Zofia Pawlik, Roman Urbanek



JOHN GUZLOWSKI przekład KRZYSZTOF D. SZATRAWSKI

MOJA MATKA WSPOMINA ŚMIERĆ SVOJEJ MATKI – poemat prozą

Moja Matka przestała mówić.

Pochwyciła ją pamięć.

Przed chwilą siedziała tam naprzeciw mnie przy kuchennym stole, mówiąc mi o domu w lesie w Polsce, i nagle jej nie było. Była w przeszłości, gdzie jej matka nadal żyła, nadal kochała, nadal była kochana, i można było odczytać z przerażonego wyrazu twarzy mojej Matki, że była to przeszłość, której nie chciała opuścić, gdyż wiedziała, że opuszczenie przeszłości jest równoznaczne z przejściem do świata, w którym jej matka została zamordowana przez Niemców wielokrotnymi strzałami w twarz, zgwałcona i porzucona na podłodze w kuchni.

Moja Matka nagle otworzyła usta, aby powiedzieć „och” albo „nie” albo jakieś inne słowo bezużytecznego, bezsilnego protestu, ale słowo to pozostało niewypowiedziane. Zamiast tego było słowo, które nie było żadnym, a jednak każdym słowem. Było to pierwsze słowo w języku smutku, suchy szloch matki uwiązł w jej gardle i jedno po drugim rodził bolesne dzieci póki jej gardła, jej oczu i ust nie napętniły tży i ból, przed którym nigdy nie mogła uciec.

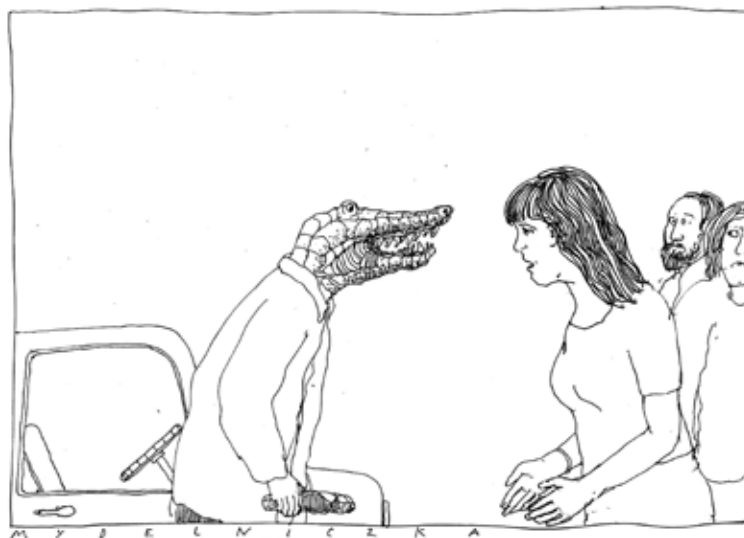
Wystraszyło mnie to. Wiedziałem, że nie mogłbym tego zatrzymać, nikt nie mógłby tego zatrzymać. Byłem jak ona bezsilny. Stała się straszna rzecz; i dla mojej Matki ta straszna rzecz nigdy nie miałaby końca. Zło pojawiło się na świecie; i od chwili gdy się pojawiło, to zło określiłoby każdą kolejną chwilę w życiu mojej Matki, i skaziłoby każdą inną chwilę, i sprowadziłoby ją bliżej do zła, którego nigdy nie mogłaby zapomnieć, nigdy z siebie strząsnąć.

Spoglądałem na swą Matkę. Wyglądała na zdeorientowaną, zagubioną, bezsilną, tak jak zdeorientowany, zagubiony i bezsilny byłem ja. Chciałem chwycić jakiś pistolet i zabić to coś, co wkroczyło do pokoju i zażądało duszy mojej Matki. Ale wiedziałem to, co wiedziała również moja Matka. Żaden pistolet czy karabin, czy kula nie mogłyby nawet dotknąć tej rzeczy, która dotknęła moją matkę i zabiła w niej jakieś święte miejsce. Żadna kula nie mogłaby przywrócić życia matce mojej Matki.

Piekło świata.

I płacz mojej Matki nie mógł jej, ani mnie, od tego wyzwolić.

Rys. Kazimierz Jałowczyk



JOHN GUZLOWSKI (ur. 1948) – polsko-amerykański poeta piszący po angielsku, profesor literatury amerykańskiej, laureat wielu nagród, w tym Nagrody Benjamina Franklina. Na język polski jego wiersze przekładali Bohdan Zadura, Feliks Netz i Janusz Zalewski.

JOHN GUZLOWSKI przełożył KRZYSZTOF D. SZATRAWSKI

WIERSZE

PRAWDA O SZTUCE

Każda chwila w lesie
jest obrazem.
Każde słowo burzą
i ciszą która później zapada

Lecz ocean nie żałuje
Poetów ani kochanków ani dzieci
które stoją na brzegu
zastanawiając się czy jutro jest jutro.

Nawet Shakespeare
nie włada słowami
które wypływa na scenę!

A te słowa nie są moje.
Przychodzą z jakiegoś świata
jakiegoś życia które nigdy nie będzie moim
Świat w którym nasiłci manifestują w Chicago
Czarnych chłopców linczuje się na ulicach,
Polscy emigranci leżą zatluczeni
Na śmierć przez ludzi w rzeźniczych fartuchach.

Widziałem Majakowskiego.
Jego pistolet.
Wiersze których nie napisze.

Każde samobójstwo to stracony wiersz
pogrzebana powieść.

Każdy wiersz lub powieść które piszesz
Każdy malowany obraz
Każda skomponowana pieśń
jest bezpańskim psem szukającym domu

ZIELONE ŚWIĄTKI – SONET

Nie ma żadnego płomienia nad moją głową.

Jedyny język to ten w moich ustach
mówiący mi, że czekam na cud
który nie nastąpi, że coś we mnie
ucisza język, gasi płomień.

Czy dlatego, że straciłem wiarę, zaparłem się w końcu,
jak Piotr się zaparł swego Jezusa? Możliwe.

Przyszedłem tam, gdzie ciemność
uderzyła mnie, i od tej chwili
byłem ślepy na biblię, religię, Boga,
świętych, księży i wszystkich duchownych.

Jestem tylko ja na ciemnej drodze, noc bez gwiazd
czy świec rozjaśniających drogę. A gdzieś dalej
jeszcze więcej ciemności. Zmierzam ku niej jak światło.



WIESIEK I MARIUSZ IDĄ NA ZAJĘCIA

Rys. Kazimierz Jąłowczyk

ŚMIERĆ I POEZJA

Gdzieś tam są cienie,
Moja matka w wejściu, mój ojciec
Stojący przy płocie. Musisz mieć
Własne cienie. Zmarli pozostają
W swych objęciach. Czarny karawan,
Ktoś kogo kochasz za zasłonami.

Pamiętam Abbotta i Costello,
Dwaj martwi komedianci, żartujący z zasłon
Ta zastania mnie, ta zastania ciebie,
I wtedy zasłony się otwierają i pojawia się
Morderca, który mówi, „Powoli się odwracam”
Ale nigdy nie jest wystarczająco powoli.

I nagle już tam jesteś
Z twoim własnym zmarłym i twoim własnym
Umieraniem, i nic nie wydaje ci się bliższe
Niż ta zadziwiająca chwila kiedy nie będziesz
Sobą a ledwie porwaną rozproszoną
Gmatwaniną bezużytecznych jonów

Proch nagle stał się lunchem w zeszłym tygodniu
I w tym tygodniu wspomnienia o wszystkim
Co nietrwałe, a ty się nie śmiejesz
Chociaż kiedyś wystarczył Abbott i Costello
Albo może to byli Three Stooges mielący
O tym jak powoli nadchodzi śmierć

Mniej jazda wozem jak kula, oto jest
i wszystkie te słowa są tak bezcelowe
że dobrze robię spisując to wszystko
teraz bowiem gdybym miał czekać
do chwili mojej własnej śmierci
Tylko bym machnął na te słowa ręką.

CZYM JEST DLA MNIE CZYTANIE

Są książki które kocham.
Kiedy je czytam czuję jak tży
Napływają mi do oczu. Wiesz
O czym mówię. Czasami

Siedząc w samochodzie, czytasz
Powieść, którą już wcześniej czytałeś
Czekasz, aż żona albo mąż
Zakończy zakupy

I docierasz do fragmentu
O czymś tak ci bliskim
Że czujesz, jakby autorka –
Nawet jeśli jest to udawane –

Musiła w swojej przeszłości
Przeżyć ten moment który
Przeżyłeś w jakimś życiu, tak bardzo
Boleśnie że chciałbyś wziąć

Dłoń autorki i przyłożyć
Do swojej piersi
I nie mówić nic.



POWRÓT TRAWNIKÓW Z EGZAMINU Z PRAWA RZYMSKIEGO

Rys. Kazimierz Jałowczyk

TOMASZ BIAŁKOWSKI

Kobieta (fragment powieści)

— Pani klucz. — Recepcjonistka wyciąga rękę w kierunku kobiety stojącej po drugiej stronie lady.

— Proszę go położyć.

Recepcjonistka na chwilę zawiesza dłoń nad lśniącem, grafitowym blatem, potem cofa rękę i kładzie na nim elektroniczną kartę — klucz. Patrzy z uwagą na długie, mocne palce kobiety. Zaciskają się na prostokątnym kawałku plastiku, w którym zatopiono układ scalony. Karta wędruje do niedużej, brązowej torebki wykonanej ze sztucznej skóry.

— A tu zwracam pani dowód osobisty.

Recepcjonistka już nie podaje go kobiecie, lecz przesuwając identyfikator ze zdjęciem po blacie palcem wskazującym. Jej wzrok jest skierowany na twarz po drugiej stronie lady. Kobieta jest w wieku jej matki. Dużo ładniejsza. Ma zmęczone oczy. To zrozumiałe. Jest przecież druga po północy. Włosy ma ukryte pod białą czapką pilotką. Teraz wzrok recepcjonistki wędruje niżej. Widzi jaskrawoczerwoną, pikowaną kurtkę, której rozsunięte poły odsłaniają luźny, wełniany sweter o bursztynowej barwie. Skupia się na szyi. Ciemnobrązowa przegroda odcina się wyraźnie od jasnej skóry pociętej wąskimi zmarszczkami. Jej kolor prawie nie różni się od tego, który ma torebka. Ale skóra kobiety w przeciwieństwie do materiału, z którego wykonano torebkę, jest prawdziwa. Bruzda odcina się wyraźnie, dzieli szyję poziomo, jakby na dwie części. Dopiero teraz recepcjonistka zauważa, że skóra na twarzy kobiety jest zaczerwieniona. Popękana tkankę widać pomimo warstwy pudru nałożonego na szyję i policzki. Powinna zakryć tę pręgę szalem albo nosić golf, myśli. Apaszką. To obrzydliwe. Recepcjonistka uśmiecha się nerwowo. Dlaczego tamta milczy? Niech już idzie. Cisza jest nieznośna. Recepcjonistka patrzy za okno w czerni oblepiającą budynek hotelu. To sygnał dla kobiety z pręgą na szyi, że nie ma ochoty na dalszą rozmowę. Właściwie, jaką rozmowę? Potem chowa twarz za ekranem monitora. Kiedy znowu odwraca wzrok w kierunku kobiety, piskliwie wyrzuca przez zaciśnięte gardło:

— Pokój na piętrze, ale to pani już wie...

Recepcjonistka chce odwrócić wzrok. Nie może dłużej ukrywać uczucia wstrętu.

Teraz to kobieta po drugiej stronie blatu przygląda się z uwagą pracownicy hotelu. Trwa to całą minutę. Potem zdejmując czapkę, odsłaniając krótko przystryżone, jasne włosy. Pod ciepłym okryciem posklejały się w mokre kępki, odsłoniły białą skórę. Wygląda odrażająco. Do tego jej spojrzenie jest natarczywe, bezwstydne. Zaczyna piec. Młoda recepcjonistka chowa dłonie pod ladę. Czuje, że są wilgotne.

— Czy wiesz, co to jest zadzierzgnięcie? — kobieta głos ma niski i ochrypły. Szorstki.

— Nie rozumiem?

Recepcjonistka błędnie. Jest przerażona. To wariatka, określenie przychodzi natychmiast. Tak, trafiłam na wariatkę, już całkiem otwarcie rozgląda się za czymś bądź kimś, kto przyjdzie jej z pomocą. Uwolni ją od tej szalonej kobiety. Hol jest pusty.

— Zakładają ci pętlę wokół szyi. Zaciskają. Sznur tworzy ślad. Taki jak widzisz u mnie. Twardówki — kobieta palcem prawej dłoni nakreśla okrąg wokół oka. — O, tutaj... chociaż są słabo unaczynione, zmieniają barwę. Przez wylewy. W spojówkach widać wybroczyny. A te plamy, które tak przyciągają twój wzrok, to przekrwienie. Przez pierwsze dni nie mogłam na nie patrzeć. Ludzka szyja to bardzo delikatna część ciała. Byle ucisk powoduje ślad, a co dopiero mówić o grubej linie... nosiłam chusty, szale. Teraz już tego nie robię. Na każdym kroku widzę takie jak twoje spojrzenia pełne wstrętu, a czasem agresji. Faceci w knajpach patrzą na mnie chciwym wzrokiem. Podobam się mężczyznom. Zawsze się podobalam. A kiedy podchodzą i widzą to, co ty teraz, wieją. I wiesz co? Mnie to bardzo odpowiada. To moja ochrona przed nimi. Pomyśl nad tym. Czy twoja ładna buzia to wszystko, co masz?

Młoda recepcjonistka nie może opanować drżenia rąk, które przyszło razem z poceniem. Próbuje skupić się na utrzymaniu w palcach telefonu, który zaciska mocno, przez co klawisze jak i monitor świecą błękitną barwą, a urządzenie



Rys. Kazimierz Jałowczyk

MANUSZ: DURY POSTANAWIAJĄ ZAKOCHAĆ SIĘ W MATEGOSI

wydaje przeciągły sygnał. Potem obraca się plecami do holu i wybiega z przestronnego pomieszczenia, zostawiając kobietę samą.

Ta chowa plakietkę w przegródce portfela. Z torebką i walizką sięgającą bioder rusza w kierunku schodów prowadzących na piętro hotelu. Wchodzi po drewnianych schodach, których kolor jest identyczny jak jej torebka. Wąski, stromy tunel wyznaczają barierki uformowane w kwadraty połączone ze sobą prostymi kawałkami drewna. Kobieta odkrywa, że zarówno ściany, podłogi, jak i meble są wykonane z drewna. Łączy się ono ze szkłem i metalem cynowej barwy. Wszystko tutaj jest bardzo gustowne, widać rękę dobrego projektanta wewnątrz i duże nakłady finansowe. Delikatne, ciepłe światło wyznacza kształt korytarza. Kiedy mijają kolejne drzwi, światło za jej plecami natychmiast gaśnie. To czujniki ruchu, natknęła się na nie przy furtce prowadzącej na dziedziniec, potem były przy drzwiach wejściowych do głównego budynku, są wszędzie. Kobieta dzień wcześniej sprawdziła w internecie to miejsce. Tak jak to robi od kilku miesięcy ze wszystkim. Każdy swój krok planuje z wyprzedzeniem. Tak być musi. Tak jest bezpiecznie. Teraz wkłada kartę do urządzenia z zakodowaną blokadą drzwi. Słyszy cichy, niski dźwięk. Dioda miga zieloną barwą. Drzwi ustępują. Chwilę nasłuchuje i dopiero teraz przekracza próg.

Wchodzi w ciemność. Szybko i nerwowo maca ścianę szukając kontaktu. Naciska przycisk, lecz ciemność nie ustępuje. Karta. Wszystko w tym budynku jest wyposażone w czipy. Wkłada ją do urządzenia na ścianie. Teraz może włączyć światło. Jej wejście zostało automatycznie odnotowane przez recepcjonistkę. Pokój jest duży. Właściwie to cały apartament z pomieszczeniem sypialnym i drugim pokojem, w którym ustawiono ręcznie wykonane krzesła. Wszystkie elementy są drewniane, pomalowane na biało. Przypominają stelaże, które czasem można zobaczyć na plażach. Poukładano na nich miękkie poduchy w kilku odcieniach szarości. Na ścianie wisi płaski telewizor. Pod nim

ustawiono skrzynkę dekodera telewizji satelitarnej, na niej dwa piloty. Telewizja jest na kartę. Korzystanie z niej zostaje odnotowane przez pracowników. To usługa nieodpłatna, lecz jak wszystko tutaj zostawia ślad. Śladem jest kod do internetu, który na gustownej karteczce znajduje się w porcelanowej paterze na biurku. Teraz kobieta podchodzi do ogromnego okna. Szklany płat zajmuje prawie całą ścianę. Rozsuwa jedną z jego dwu części. Do pokoju wdziera się natychmiast mroźny wiatr. Wywraca wazon z kwiatami stojący na stole w części rekreacyjnej.

Kobieta wychodzi na taras. Mokre drewno pod stopami sprawia, że ostrożnie stawia kroki. Tutaj powietrze jest wielokrotnie chłodniejsze niż przy oknie. Wdziera się pod kurtkę. Kobieta szybko ją zasuwą, zatrzymując suwak pod szyją. Na twarzy czuje ostre podmuchy, ich intensywność wyciska z oczu łzy. Kobieta wraca do pokoju, ze stołu zabiera czapkę. Zakłada ją i wraca na taras. Pod ścianą dostrzega drewnianą ławkę. Siada na niej, chociaż natychmiast wilgoć przenika jej pośladki i uda. Nie dba o to. Wpatruje się w tafelę czarnej wody. Wie, że kiedy minie noc i wszędzie słońce, z tej wody wyłoni się wyspa. To dla niej tutaj przybyła. Przyciska kolana do brody, skulona na ławce dygocze z zimna. Na chwilę zerka w lewo, widzi kontury domów tworzących niewielką wieś. Jest środek nocy, panuje bezruch, który próbuje przerwać lodowaty wiatr. Kobieta zatrzymuje wzrok na najbardziej wysuniętym w kierunku wody domu. To dziwne, lecz zdaje jej się, że w jednym z okien widzi światło. Skupia całą uwagę na tym punkcie. Obraz wyostreza się. Kobieta dostrzega kontur, który zamienia się w sylwetkę człowieka. Ten człowiek patrzy przez okno. Kobieta ma wrażenie, że wpatruje się w budynek hotelu, śledzi ruch na tarasie. Obserwuje ją.

TOMASZ BIAŁKOWSKI (ur. 1969 r.) – prozaik. Autor kilkunastu książek. Nagradzany i tłumaczony. Ostatnio wydał „Rausz” (Warszawa 2016) i „Mate historie rodzinne” (Warszawa 2017), członek Olsztyńskiego Oddziału Stowarzyszenia Pisarzy Polskich.

KAZIMIERZ BRAKONIECKI

Paryż — grudzień 2002 roku (fragment)

1.

„Picasso-Matisse”. Petit Palais

Przyjacielska rywalizacja dwóch geniuszy? Że Picasso był geniuszem, feniksem, proteuszem, to wiadomo, a wzmacnia to przekonanie za każdym razem wizyta w jego monograficznym, paryskim muzeum. Ale Matisse? Zdaniem wielu bezapelacyjnie też. A więc po raz pierwszy osobiście spotkali się w 1906 lub 1907 roku. Różnili się znacznie i nieustannie. W życiu intymnym także. Picasso burzył i wymyślał. Jeżeli nie zawsze był oryginalny — bo zdarzało mu się wysoce inteligentnie korzystać z pomysłów innych — to zawsze to, czym się zajął, wychodziło mu najlepiej. Interesowała go forma, nawet portretując ludzi bardziej myślał o efektach malarskich, o przekraczaniu granic formalnych, o tym jak zadziwić, niżli o odwzorzeniu „wizerunku” portretowanego. A potrafił wszystko. Matisse dążył do uproszczonych form, do dekoracyjności i przyjemnego dla oka efektu kolorystycznego. Liczyła się dla niego emocjonalna aura całości, osiągnięta harmonia.

Picasso bardziej do mnie przemawia swoim nieustannym rozpędzeniem, chociaż gdybym musiał wybrać najbliższy mi obraz jego pędzla, to nigdy bym nie wybrał żadnego kubizującego portretu czy pejzażu, to pewne. Ani również nic z okresu klasycyzującego. Więc coś bardziej tradycyjnego? Z okresu niebieskiego z początku XX wieku? Zdumiewa mnie, że nie wiem i nie potrafię wybrać, a więc nie jest to „mój malarz”! Tym bardziej Matisse! Ale już wiem, że go nie doceniłem. Ich ostatnie lata są dekoracyjne. Matisse układa niebieskie „wycinanki” z papieru. Zresztą cokolwiek by zrobili starzy mistrzowie, to i tak patrzy się na to tak, jakby od razu były to arcydzieła, a tak nie jest przecież zawsze!

Kuratorzy ekspozycji dają widzowi do myślenia, odpowiednio zestawiając obrazy. Akt z lat 20. Kobieta Picassa z okresu klasycznego jest wyobrażonym, stylizowanym obiektem plastycznym. Matroną, kariatydą, znakiem gatunkowym. Matisse poprzez sylwetkę i kolor wyraża emocje. Jest blisko abstrakcji. Twarze są nierozróżnialne, puste, chodzi nie o psychologię, ale o syntezę kształtu, o znakowość. Zdarza się, że kolory Matisse’a w moim odbiorze są słabe, jakieś nieprzekonujące. Trafień w dziesiątkę jednak ma sporo: ascetyczne i prawie abstrakcyjne portrety emanują poetycką, chociaż może trochę wyleńiałą, aurą.

Martwe natury, wnętrza. Matisse — urok miejsca uchwycony okiem nowoczesnego fowisty, któremu nie chodzi o weryzm: kolor to kreacja, a nie imitacja rzeczy, to nie komponowanie, lecz wyobrażanie nastroju. W sumie to rodzaj nowoczesnego malowania dekoracyjnego. Matisse jako prekursor pop-artu, nowoczesnej tapety.

Picasso rozbija bryły, komponuje całość w rozpadzie. Całość ta jest — nawet złożona ze starych elementów, części, zdarzeń — całkowicie nowa i eksperymentatorska. Artysta to ogień, będący podstawowym żywiołem przemiany. Niby nie ma w nim nic trwałego poza „wołą mocy/kreacji”.

Matisse opowiada się za komponowaniem, harmonijnym układaniem rzeczy tego świata według wypracowanych procedur, które uznają świat za ciąg dekoracji. Matisse jest reżyserem spektaklu kolorowych cieni. Picasso jest sam dla siebie reżyserem, teatrem, widzem i sztuką samą.

Wychodzę usatysfakcjonowany, ale na pewno żaden z nich nie jest „moim” artystą plastykiem. W tym momencie jeszcze mam w głowie feerie Van Dongena.

Przypomniał mi się cudowny, dowcipny szwedzki film o Picassie. Szkoda, że nie można go ponownie zobaczyć!

Picasso: „Należy budzić ludzi, wstrząsać ich sposobem widzenia rzeczy. Trzeba tworzyć obrazy nie do zaakceptowania, żeby ludzi doprowadzać do wściekłości”.

Matisse: „Marzę o sztuce równowagi, o sztuce czystej, zrównoważonej, pozbawionej niepokojącego tematu, o takiej sztuce, która podobna byłaby do dobrego fotela...”.

Co na takie „mieszczańskie ideały” Matisse’a powiedzieliby zbuntowani malarze ekspresjoniści? Szczególnie niemieccy?

KAZIMIERZ BRAKONIECKI fragment z książki „Cudoziemiec”, którą jesienią tego roku Oddział Olsztyński Stowarzyszenia Pisarzy Polskich opublikuje jako kolejny tom serii Biblioteka Autorów Warmii i Mazur.

2.

Wystawa monograficzna Maxa Beckmanna (1884-1950), niemieckiego ekspresjonisty. Centre Pompidou

Pomimo iż w jego wcześniejszych płótnach dostrzegałem wpływy zarówno wielu francuskich mistrzów nowoczesności, jak i „gotyckich” (Cranacha, Grünewalda, Dürera), to moje pierwsze wrażenie było nie do podważenia: to artysta wielkiego, może i największego, formatu, godny swoich mistrzów. Poza tym nieustannie się rozwijający. Od ekspresjonizmu gotyckiego (wpływ mistrzów niemieckiego, późnego średniowiecza) po specyficzny rodzaj realizmu alegorycznego, w którym nadrealistyczna wizja miesza się z kłębowskim alegorycznym, posągowym, obrazującym „odwieczne problemy ludzkości” postaci. Twórczość egzemplifikowana na przykład „Argonautami” to szczyty europejskiego malarstwa przedstawiającego i refleksyjnego, narracyjno-parabolicznego z okresu po II wojnie światowej. A nie są to proste ilustracje idei.

Po długoletniej mojej fascynacji deformującym rzeczywistość, dramatycznym, wyzwolonym kolorystycznie ekspresjonizmem, nadeszły lata fascynacji ekspresjonistyczną II fazą w Niemczech zwaną „nową rzeczowością”, której wielkimi przedstawicielami byli m.in. Otto Dix i właśnie Beckmann. Dotychczas w pełni z tej fascynacji się nie wyleczyłem.

Ten natłok na płótnie rzeczy, ludzi, skojarzeń może przytłaczać. To malarstwo zarazem jest „ohtarzowe i komiksowe”, to całe przypowieści o rodzie ludzkim. Jaka szkoda, że nie widziałem wcześniej – poza pojedynczymi obrazami z okresu bardziej typowo ekspresjonistycznego – w całości tej niespokojnej, rozgadanej, pobudzającej do myślenia intelektualnej twórczości. Jednak przypuszczam, że w naszej epoce malarstwo to może być oceniane jako zbyt sztywne, hieratyczne, ilustracyjne, właśnie „przegadane”. Ja chcę się z nim zmierzyć, chociaż trudno faktycznie przebić się przez gąszcz symboli, alegorii, parabol. W sumie widać, że Beckmanna interesuje obłędna historia ludzkości, którą z pasją obrazuje, komentuje, przetwarza, poszukując wiecznych symboli i alegorii na oddanie jej szaleństwa i specyfiki kulturowej. To szukanie drugiego dna tej narracji pobudza do pozytywnej reakcji. Obrazów nie sposób zapomnieć od razu! To przekonujące artystycznie mitotwórstwo!

Ale, ale, są jeszcze i portrety! A przede wszystkim autoportrety. Widzę człowieka zuchwałego, nieco cynicznego, nieco sceptycznego. To ktoś z naszego burzliwego

stulecia. Artysta lubi posługiwać się maskami stylistycznymi, poetyką roli, znakami alegorycznymi, aby zgłębiać z rosnącym napięciem (zdenerwowaniem?) epokę masowych ideologii i zmierzchu wartości. Jak oddać tę burzliwą epokę? Przebierając się w kostiumy, mitologie, metafory? Te portrety oszałamiają swoją mocą, przenikliwym wyrazem. Beckmann stosuje kolor i grubą kreskę. To nowy realizm, taki z pogranicza groteski, mitotwórstwa, komiksu, ten malarz jest wampiryczny. Trawi rzeczywistość, aby ją wyrzucić na wyższy poziom skojarzeń.

I jeszcze te pejzaże!

Tak, ani Picasso, ani Matisse, bo to „tylko” genialni artyści, ale „mój” Beckmann, który jest twórcą ostrego i myślącego pędzla, „tytan” filozoficzno-reporterskiego malarstwa, który poszukuje w specyficznym realizmie metafizycznym odpowiedzi na najistotniejsze pytania. Tamci są na swój sposób naiwni, radośni, a ten nadświadomy i mroczny. Tamci cieszą się sztuką jak niewinne dzieci, która ma być naturalną przyjemnością (jeżeli nie widzenia, to odkrycia). Posępny Niemiec sztukę traktuje jak samopodważającą się religię bez Boga Autorytetu, która ma otworzyć wrota na głębsze odmęty istnienia. Beckmann jest ekstatycznym szamanem germańskim, którego nurtują przekłete pytania ostateczne, a tamci galijskimi kapłanami kultu słońca i nieustannej odnowy życia.

Beckmann to malujący prorok w poszukiwaniu Walkirii. Picasso i Matisse to malujące Pantagruiele. Beckmann to sceptyczny antropolog na tropach gnozy, tamci to uwiedzeni życiem antropologowie, cieszący się mitami pogańskiej i odurzonej zmysłami ludzkości.

Jak myślę Beckmann, to od razu przywołuję Kokoschkę. Ten sam format artysty. Czy byś tych dwóch ustawił w jednym szeregu z Picasssem i Matissem? Czemu nie. Z zastrzeżeniem, że Picasso był geniuszem, bez niego nie można zrozumieć sztuki XX stulecia, bez tamtych trzech tak, mogą ich zastąpić inni wielcy.

Beckmann: „To co chcę pokazać w moim dziele, to idea, która skrywa się za tym, co nazywa się rzeczywistością. Szukam pomostu pomiędzy widzialnym i niewidzialnym jak sławny kabalista, który zapewniał: Jeżeli chcecie dotrzeć do niewidzialnego, to musicie tak samo głęboko spenetrować to, co widzialne”.

Uważam tak samo: realizm to wyrażenie nieskończoności w skończoności, a poezja to uchwycenie istnienia jakby w stanie narodzin i śmierci jednocześnie: chiazma.

PIOTR PIASZCZYŃSKI

Wiersze

BARBARZYŃCA W OGRODZIE

W Sienie, na Il Campo,
piórko na mnie spadło...

I gadułę z tą chwilą
w niemowę zmieniło.

NAD CZYM PAN OBECNIE PRACUJE?

Gdyby mnie o to ktoś zapytał
(aczkolwiek nikt mnie o nic nie pyta,
a już tym bardziej, nad czym pracuję),

odpowiedziałbym z cichym uśmiechem:

czas coraz to kogoś ekspediuje
na tamtą stronę. Ja zaś epitafium
czasem sobie o nim nagryzmołę...

O CIEMNOŚCI

posępna
podstępna
postępująco
nieodstępująca

otacza
osacza
opiekuńcza
(jest ona bowiem nad wyraz)

PRZYPUSZCZAM

Jeżeli (przepraszam
bardzo za słowo) dusza
goiłaby się
w okamgnieniu jak
— dajmy na to —
śluzówka,

wtedy całkiem znośny
ten ziemski byty byt...

Piotr Piaszczyński urodził się w 1955 r. w Olsztynie. Mieszka w Niemczech, gdzie pracował m.in. jako recenzent literacki i publicysta. Poeta, autor kilku zbiorów wierszy. Prezentowane utwory pochodzą z jego najnowszego tomu pt. „Po sezonie”, który ukaże się we wrześniu br. nakładem Olsztyńskiego Oddziału Stowarzyszenia Pisarzy Polskich.

EWA TONIAK

Po-twarz i od-twarzanie. O cyklu obrazów Roberta Listwana

Związek między twarzą a malarstwem w języku polskim jest bardzo bliski. Możemy powiedzieć, że jakaś emocja „maluje się” czy też „odmalowała się” na czyjeś twarzy. Podobnie, jak malarz malujący portret, twarz potrzebuje czasu, aby z reproduktowanego w nieskończoność „schematu”, kilku stałych punktów jak nos, oczy czy usta, wyłonić to, co nieredukowalne. Konkretny podmiot. Osobę.

Wydaje się, że malarstwo Roberta Listwana, absolwenta Gdańskiej Akademii Sztuk Pięknych, na wielu poziomach rozprawiające się z najbardziej skonwencjonalizowanym gatunkiem, jakim jest portret, gra również z nawykami języka. I z widzami. Postaci na jego obrazach – ich status jest zawsze niepewny, podpisy odsyłają nas do wspomnień czy osób przygodnie spotkanych (*Wilczyca ze wschodu*; *Transatlantyk*), próbują „przybrać jakąś twarz” (coś sobą wyrazić, wpisać się w społeczną konwencję), „robią sobie twarz” (zmieniają jej rysy dzięki zamalowaniu), twarz „tracą” (wyzbywają się poglądów czy przekonań), by wreszcie poddać się kilku gestom malarza i „stracić” ją na zawsze (pozbawić się indywidualności). Operacje na twarzach są jak operacje na języku. To, co dzieje się na płótnach Listwana, to „od-twarzanie” czy wręcz artystyczna „po-twarz”.

Spotkanie „twarzą w twarz” z postaciami na płótnach Listwana jest dla nas trudną konfrontacją. Ich sylwetki jak szablony odcinają się od płaskiego, monochromatycznego tła, zawsze podobnie kadrowane. Nikt nie unika naszego spojrzenia, ani nam się nie przygląda. Nie sposób zobaczyć kogoś pod warstwą twarzo-obrazu. Ani rozstrzygnąć, czy artysta swoim gestem ustanawia, czy też chroni portretowanego, przed naszym wzrokiem. Jeśli przyjmiemy to drugie założenie, możemy powtórzyć za Tadeuszem Sławkiem, polskim filozofem, że odmowa bycia portretowanym jest aktem najwyższego zaufania. Twarz powierza się trosce malarza. Odsłania to, co musiałoby zniknąć pod maską portretu. Nieredukowalny podmiot.

Lecz jeśli artysta zastania twarz portretowanych warstwami szybko kładzionej farby (nigdy nie wiem, do końca, jaki będzie finał – powie o sobie), to nie tylko neguje warunek sine qua non portretu, dawno skompromitowaną zasadę mimesis. Raczej toczy walkę z konwencją gatunku, zamieniającą twarz

realnej osoby w społecznie akceptowalną maskę. To, co uniwersalne, zderza się na płótnach artysty z tym, co indywidualne. „Spontaniczny gest malowania – jak napisał Hans Belting – zyskuje przewagę nad obrazem, a gest wściekłości – władzę nad reprezentacją, która jawi się wyłącznie odwzorowaniem”. Związki z fotografią płócien Roberta Listwana wydają się zażyłe. Tropami są: zgaszona, rozpięta między rozbieloną czernią a odcieniami szarości, paleta barwna, klaustrofobiczna przestrzeń. W katalogu podobieństw tylko jeden element uchyla się prawu serii: miejsce po-twarzy. Albo miejsce na-twarz. Często zamalowane, pokryte ideogramami graffiti (*Good Girl Killer*, 2015; *La Libertad*, 2015; *Ich bin Dein*, 2015) czy wyłaniające się z ledwie zasugerowanego pejzażu (*The Big Sleep*, 2015; *Bad Girl*, 2015). Nie dajmy się jednak zwieść pozorom. Jak Barthesowską intuicję zwerbalizował Hans Belting: „fotografie czynią nas przedmiotem, którym inni mogą dowolnie dysponować”. Miejsce po-twarzy do nikogo nie odsyła. To obraz w obrazie. Powierzchnia gotowa do zamalowania (*Air*, 2016; *Tokio rano*, 2016; *Młoda Portugalia*, 2016). Albo zapisania (*Head of Medusa*, 2015; *Head of Medusa 2*, 2016). Typografia wygrywa z tłem, nieobecność portretowanej postaci rekompensuje przyjemność czytania.

Czasami jednak spod warstwy farby wychyla się znana twarz-bez-twarzy. Przedwcześnie zmarły Zbigniew Cybulski, wybitny aktor i peryferyjna replika Jamesa Deana (*Warsztaty z umierania*, 2011; *Love and Death*, 2016) czy Fryderyk Chopin (*My Idoles are Dead*, 2016) dzięki gestowi malarza wyrrywają się strywalizowanym, plakatowym wizerunkom.

Literatura wykorzystana:

Hans Belting, *Faces. Historia twarzy*, przeł. Tadeusz Zatorski, Gdańsk 2015.

Jordan Kantor, *Efekt Tuymansa*, w: Sasnal. Przewodnik Krytyki Politycznej, Warszawa 2008, s. 124-135.

Jolanta Maćkiewicz, *Twarz to człowiek. Metaforyczne i metonimiczne funkcje w języku*, w: *Twarz*, „Punkt po Punkcie”, z. I., Gdansk 2000, s. 31-35.

Stefan Skorupka, *Słownik frazeologiczny języka polskiego*, t. II, R/Ż, Warszawa, s. 408-409.

Tadeusz Sławek, *Był bez twarzy?* w: *Twarz*, „Punkt po Punkcie”, z. I. Gdańsk 2000, s. 19 – 30.

ROBERT LISTWAN

Obrazy



My idols are dead, 2017, akryl na płótnie, 110 x 110 cm



Mały wielki człowiek (portret syna nr 2), 2017, akryl na płótnie, 100 x 100 cm

JOANNA MILEWICZ red. IWONA BOLIŃSKA-WALENDZIK

Stąd jest blisko do NY

Wszystko zaczęło się dla mnie tutaj, w tym domu, w tym mieszkaniu, na ul. Jagiełły. Ale, będąc w Olsztynie, mogę być jednocześnie np. w NY, gdy słucham Lou Reed'a czy oglądam filmy Jarmuscha. Gdy pisałam pracę magisterską u prof. J. Mrozka o sztuce psychodelicznej Zachodniego Wybrzeża (część dyplomu z malarstwa i tkaniny na ASP), byłam tam myślami. Kalifornia fascynowała mnie jako miejsce, kolebka kultury psychodelicznej.

Gdy jestem tu, w każdym momencie mogę pojechać np. do swojej żywej żmijki do lasu koło Kopanek w okolicy Małej i Dużej Czerwonki. Piękne, moje WIELKIE LASY. Spotykam tam żmijkę, obchodzę ją, ona siedzi na prawdziwkach, pilnuje ich. Omijam ją, żeby mogła się wygrzewać i dalej ich pilnować. Po dwóch godzinach wracam, bardzo powoli, jak szelest, żeby nie zaburzyć jej spokoju. Nie ma jej, ale są prawdziwki.

Stąd niedaleko jest do Gdańska, z którego można polecieć gdzieś tam albo zostać nad morzem. Fajnie się stąd ucieka, bo nieraz to miejsce dusi. Objamy się o ściany Olsztyna, bo to nie jest przecież duże miasto. Wyjeżdżając, widzi się inne rzeczy i to jest świetne. Trzeba oglądać wystawy, poznawać ludzi, miejsca, choć Zachodni Olsztyn jest równie interesujący (socjologicznie też).

Zmierzam do tego, że, będąc tutaj, jeżeli kocha się to miejsce, tę enklawę spokoju, pracy, robienia kawy, makijażu, podejmowania ludzi i bycia ze sobą w taki naturalny sposób, to tak naprawdę nieważne, gdzie jesteśmy. Wszędzie mogę być u siebie i u siebie mogę być wszędzie. Moim miejscem mogą być Nowy Jork, Düsseldorf, Sydney.

Moje mieszkanie jest duże, prawie stumetrowe, a ja jestem niewysoka i czuję się w nim jak krasnoludek. Teraz może mniej, kiedyś, gdy byłam malutka, to miejsce wydawało mi się ogromne, ale teraz je ujarzmiłam. Chociaż nadal stanowi tajemnicę – czasami coś zatrzęszczy, np. szafa naszej kochanej babci Józefy.

Dorastałam w tym domu, trochę puszczona samopas, razem ze starszym rodzeństwem (siostrą Marią i bratem Mariuszem), rodzicami i babcią. W domu były również zwierzęta. Nasz pies Dingo, bokser, siadał przebrany z nami przy stole. Przebraniem była np. czapka pilotka albo hełm znaleziony w lesie. To był taki włoski dom, rodzice nam na dużo pozwalali. Pamiętam, że jako dzieci trochę „drzczyliśmy” babcię w jej pokoiku. Brat przywiązywał ją do krzesła i kazał wymieniać wszystkich członków Rolling Stonesów i ona wymieniała. Oczywiście to był taki żart, na szczęście miała poczucie humoru i kochała nas. Została z nami, nie wróciła do Warszawy, skąd pochodziła, a była atrakcyjną kobietą, mogła jeszcze ułożyć sobie życie. Została, żeby pomagać mojej mamie. Szyła nam, gotowała, była cudowna i bardzo dla nas ważna, to ona pokazała mi Warszawę. Robiła też torty i przyjęcia dla rodziny, i kiedy dorośli zegnali się w drzwiach, to myśmy szybko dopili wina domowe, które zostawały na dnie pięknych, kryształowych kieliszczków. Myślę, że napiszę i zilustruję książeczkę o babci.

Pamiętam, że jako dziewczynka bawiłam się nieopodal na cmentarzu żydowskim, który dla mnie był niesamowitym miejscem – później go zburzono. Pamiętam Cyganów na placu, gdzie obecnie jest targowisko z owocami. Przyjeżdżali tam taborami i my jako dzieci baliśmy się ich, ale jednocześnie podglądaliśmy. To było dla nas straszne, a z drugiej strony fascynujące – te opowieści, że Cyganie kradli dzieci. Bawiliśmy się wszędzie, również w piwnicy, gdzie działy się przerażające rzeczy, jak to w wyobraźni małej dziewczynki, przede wszystkim grasowały pająki. Podwórka bawiły się ze sobą i walczyły – mówiło się „dzieciaki trzepaki”. Dorastało mi się tutaj kontrowersyjnie. Babcia wysyłała nas z kanką po piwo na dworzec. Szliśmy zadowoleni w trójkę, z psem Dingo przebranym w pilotkę. Na dworcu była restauracja, gdzie można było zjeść. Wszyscy jednak chodzili tam na piwo. Pamiętam bufetową – wielką kobietę, blondynę z obfitym biustem. I my chodziliśmy tam po piwo, w którym później babcia myła nam włosy, żeby były mocniejsze. I na tym dworcu chłoniliśmy opary i podglądaliśmy ludzi. Młodzi żołnierze wydawali mi się starzy, bałam się ich troszeczkę. I co jakiś czas przyjeżdżała tam karetka, wtedy lecieliśmy do okna i obserwowaliśmy, gdy znoszono zakrwawione, przykryte prześcieradłem ciała. Pijani albo wtaczali się pod pociąg, albo zasypiali na torach, o wypadek nie było trudno. Może dlatego lubię dobre kryminały i thrillery, bo szczypta adrenaliny twórczej nie zaszkodzi.

W szkole wagarowałam, byłam leserką, jedyne przedmioty, z których miałam dobre oceny, to plastyka i polski. W tym czasie byłam też kinomanką, uciekałam na lekcjach do kina, do dziś zresztą uwielbiam oglądać filmy. Jestem kolekcjonerką dobrego kina.

Jak trafiłam do Warszawy na studia na ASP, po tym jak mnie wyrzucili z Torunia (na szczęście) z powodu francuskiego, to odżyłam. Stałam na dworcu w Warszawie i poczułam się jak w domu, pewnie przez swoją babcię, która mnie tam przywoziła. Warszawa to moje drugie pierwsze miejsce. Tam poznałam wielu przyjaciół, z którymi do dziś mam dobre kontakty. Czynię tam wystawy w zaprzyjaźnionych galeriach. To jest moje życie. A wracając tu, słyszę pociągi i odnajduję swoje miejsca.

Przez wiele lat podróżowałam i mieszkam za granicą. Jakby podsumować, to około 12 lat spędziłam poza Polską. Powracałam tu, ale najchętniej uciekałam stąd. Jak już wróciłam, to czułam się zagubiona, najważniejsze, że pojawili się przyjaciele, którzy wyciągnęli do mnie pierwszą rękę, tak jak Ewa mieszkająca niedaleko na ul. I Dywizji czy Bury.

Pewnie nigdy bym tu nie wróciła, gdyby nie choroba tatusia i potem mamy. Mama między nawrotami choroby była jak feniks, widziałam ją np. na nartach biegowych nad Jeziorem Długim. Zawsze była wysportowana, stąd my też sport mamy we krwi. Od małego chodziliśmy na pływalnię. Mama była pierwszą kobietą w Olsztynie, która zdobyła złoty czepek¹ na Jeziorze Krzywym. Zapisywała nas wszędzie, i do Pałacu Młodzieży, i do Casablanki, gdzie robiłam np. pacynki. Mama była też społecznicą, jeśli chodziło o nasze podwórko. Wszystkim

zaprzyjaźnionym dzieciakom organizowała wspólne wyjazdy nad Jezioro Krzywe. Przystaniowy pan Bodo opiekował się nami, spędzaliśmy tak całe dni podczas wakacji.

Ten dom był mi gdzieś przeznaczony, jestem zrosnięta z tym miejscem. Ten nasz polodowcowy krajobraz, góra-dół, góra-dół, przypomina trochę San Francisco, zwłaszcza ul. Grunwaldzka czy Wyzwolenia.

Po śmierci mojej mamy po jakimś czasie przerobiłam mieszkanie i zmieniłam trochę jego układ. Jest tu teraz pokój dla gościa, zwany też komputerownią, są tam albumy ze sztuką, stare zdjęcia. Tam, gdzie jest salon z aneksem kuchennym, była kuchnia, pokój babci i pokój. Powiększyłam łazienkę o korytarz, który był długi i można było go spokojnie skrócić. Miałam majstra, pana Janka, który mi wszystko tu robił. Na podłogach położone były płyty i okazało się, że pod nimi są deski, które odsłonił mi. W czasie remontu wpadałam na różne pomysły, na przykład – Tu, panie Janku, zrobimy „Gaudiego”. I on mi robił murki o nieregularnych kształtach. A później modelowałam ich powierzchnię i pan Janek wołał – Pani Asiu, szybciej, zanim tynk zaschnie.

Z rodzinnego umeblowania został stary kredens, stół, szafa taty i szafa babci, którą pomałowałam. Pamiętam, że na szafie babcia trzymała kapelusiki, które my w zabawie potrafiłszyśmy deformować. Jak ona mieściła się w tej szafie (pomyślała próżna Joasia)?

Cześć obecnego wystroju to są przywiezione przeze mnie z podróży rzeczy. Szafka z Indonezji, z Polinezji tapy z kory drzewa eukaliptusowego specjalnie preparowanego i malowanego w ceremonialne wzory czy rzemiosło Aborygenów. Drzwi mieszkania są ozdobione przeze mnie drewnianymi wyplukanymi przez morze w Piaskach.

W tym mieszkaniu okna wychodzą na trzy strony świata, takie moje zielone obserwatorium. Podczas remontu pozostawiłam skrzynkowe okna, przyznam, że z sentymentu zrobiłam wielki błąd, zostawiając je. Opalałam z farby te okna i pod wpływem gorąca pękały szybko, trzeba było je wymienić u pobliskiego szklarza. Pamiętam z dzieciństwa, że tato latem wyjmował wewnętrzne skrzydła i zanosił je do piwnicy, a na zimę zakładał z powrotem. Ja tego nie robię, wtedy musiało być tu dużo ciszej, wolniej sunął czas, było mniej samochodów.

Oczywiście jest tu pracownia, niemniej tam, gdzie się przemieszczam, również maluję. Jak byłam w Australii, malowałam i tam. Jak jadę do Warszawy to mieszkam w takim miejscu nad Wisłą, w domu z ogrodem na Siekierkach, gdzie mam pokój ze sztalugą. W mojej pracowni w Olsztynie podłoga jest cała w plamki od farb. Od powrotu z Australii zaczęłam podsycać obrazy ultrafioletowymi farbami. W Australii oczy nasyciły mi się słońcem, zresztą ze szkodą dla wzroku, bo nie nosiłam okularów. Jak wróciłam do Polski, brakowało mi światła z antypodów i wtedy odkryłam farby ultrafioletowe. Gdy włączam w pracowni lampę ultrafioletową, sprawia ona, że tu wszystko świeci. Coś znika, bo jest czarno, a te plamki powstałe z pędzla powodują, że wieczorem robi się prawdziwy spektakl. Już nie mówiąc o moich obrazach, ale ta podłoga, krzesło dotykane rękoma... Robi tu się naprawdę magicznie.

Chcę w przyszłości w przestrzeni swojego domu zrobić taką na pół prywatną galerię, taką jak są robione np. w Berlinie czy Warszawie, gdzie zaprasza się znajomych, koneserów sztuki. Taki dom otwarty.



Fot. Iwona Bolińska-Walendzik



¹ Specjalna karta pływakka popularnie nazywana żółtym czepek dająca posiadaczowi dodatkowe uprawnienia.

ANITA ROMULEWICZ

Wszystko zaczęło się od wilka



A właściwie nie od wilka, a od świetlików, które nocą pokazywała jej mama w lesie, nieopodal rodzinnego domu na wsi. Mowa o Annie Mikicie — dziś olsztyńiance, która jest już znana nie tylko wśród wychowanków Przedszkola Miejskiego nr 23, gdzie pracuje, ale także wśród czytelników jej autorskich książek dla dzieci. Na co dzień przedszkolanka, od ponad dwudziestu lat zagłębia się w psychikę dziecięcą, poznając potrzeby emocjonalne najmłodszych. A że jest nie tylko wychowawcą, ale również osobą pełną pasji, jej portret jest dużo bardziej interesujący.

Kilka lat temu ukazał się wywiad, w którym autorka przyznała, że właściwie trudno byłoby jej powiedzieć czym się interesuje, ponieważ „poza informatyką i mechaniką samochodową wszystko jest ciekawe”. Jednak, jak na nowoczesną kobietę przystało, Anna Mikita wyraża się na wiele sposobów: jako wolontariuszka wspiera Schronisko dla Zwierząt w Olsztynie, angażuje się w różne spotkania, warsztaty czy akcje (ostatnio malowała „Gadające dachówki”, promujące nie tylko typowy dla Warmii element architektury, ale i... mole). Nieprzerwanie swoje upodobania i przekonania zawiera także w licznych książkach, które publikuje od ponad dekadę.

O ile z tych pierwszych, wydanych po 2005 r. („Wierszopisanie”, „Zagadki dla maluchów”, „Wędrówki po zwierzątkowie”, „Różne sposoby na wredne choroby”, „Opowiadania terapeutyczne”), wylania się autorka-pedagog, o tyle w najnowszych publikacjach poznamy z krwi i kości autorkę-ekolożkę. „Bajki w zielonych sukienkach” wydane w 2009 r., w 2017 doczekały się kolejnego wydania, a w tym roku do dzieci trafiły „Bajki w zielonych spodenkach”. I tu warto wrócić do wspomnianego już wilka, bo to właśnie on, jako ofiara tzw. czarnego PR-u, zainspirował autorkę do napisania pierwszego opowiadania z serii bajek przyrodniczych. Nie chcąc pozostawać obojętna na los wilków w Polsce stworzyła historię pt. „Dziewczynka w czerwonym ubranku i wilk”, swobodną, przewrotną i intrygującą. Zabiera w niej dzieci na metaliteracką wędrówkę, pozwala na swobodne fantazjowanie i poszukiwanie interakcji z już nabytymi doświadczeniami literackimi. Bawi przy tym iście kabaretową narracją.

W pozostałych opowiadaniach z tomiku „Bajki w zielonych sukienkach” autorka postawiła sobie jasny cel: przybliżyć dziecku otaczający go świat i uwrażliwić na potrzeby natury. Wychowana przez pasjonatów przyrody, w miłości do wszystkiego co żywe, dziś sama stara się zarazić dzieci tą wrażliwością, pisząc dla nich w sposób radosny, bez moralizowania i straszenia. Działa emocjonalnie, a to w przypadku dzieci zawsze się sprawdza.

Anna Mikita hipnotyzuje młodych czytelników przygodami dużych i małych bohaterów. Zaprasza dzieci do kolorowego świata zwierząt, roślin i zabawek, a magię tej przestrzeni, otwartą na oścież dla wyobraźni, podkreślają cudne ilustracje Tomasza Kozłowskiego. Artystycznie piękne, wysmakowane i dyskretne. Nie bez znaczenia pozostaje też aspekt praktyczny obu zbiorów „Bajek”. Każde opowiadanie może stanowić, niezależnie od pozostałych, materiał do pracy nauczyciela, wychowawcy

czy rodzica. Z całą pewnością udał się autorce zamysł, by „Bajki w zielonych spodenkach” i „...sukienkach” miały szansę inspirować do dalszej aktywności twórczej i poznawczej dzieci oraz by zachęcały do dyskusji.

Obie książki są bardzo dobre i potrzebne, choć w obu też uważny (raczej dorosły) czytelnik znajdzie drobne niedociągnięcia, jak to we wspomnianej już historii z wilkiem. Pierwszą spotkaną przez dziewczynkę istotą jest ktoś siedzący na czubku drzewa i rzucający w nią szyszką. Następnie, bez żadnego wyjaśnienia, dialog dotyczy szaraka, który tarza się w trawie. Czyżby to on w jednej chwili zszedł z drzewa (co byłoby zadziwiające)? Czyary czy błąd logiczny? Raczej to drugie. Dopiero ilustracja na kolejnej stronie wyjaśnia, że w dziupli jednak nie siedział zając, a „coś”. Spostrzegawcze dziecko natomiast zauważy, że to „coś” nie dostało własnej literki, na którą zaczynałaby się jego nazwa, jak to miało miejsce z K – Kapturkiem, W – wilkiem, Z – zającem, czy SZ – szyszką. Swoją drogą, owe literki to intrygująca, choć niepozorna zabawa i nauka, a także przemyślnie zaprojektowane ćwiczenie koncentracji. Niemniej, jak brak literki wytłumaczyć? Co również odpowiedzieć na pytanie dziecka, które wie, że ptaki zjadają ślimaki, a w opowieści o wypalaniu traw wrona Emilia ratuje winniczkę. Przecież normalnie zjadłaby go.

Największym atutem „Bajek”, poza wymiarem ekologicznym i ilustratorskim, pozostaje ich warstwa językowa. Świadczy ona o dużym poczuciu humoru autorki i jej nieokiełznanej wyobraźni. Niekiedy zabawne, czasem urocze, ale głównie inteligentne są imiona bohaterów. Nie tylko personifikują, ale i nadają jednocześnie szereg cech, które poruszają maszynę wizualizacji. Kartka ze zniszczonej książki to Najcudniej Namalowana Dżungla, a wielkim uczonym i znawcą literatury pięknej jest Wielki Myszor Spod Podłogi (na obrazku w czarnej, eleganckiej muszce). W innej historii mieszkającymi w Krainy Bez Wody są: Kran Wylewny III, Wanna, W Której Nikt Sie Nie Kąpie, Dawno Uschnięta Paprotka i Brudne Stopy Jacka. W drugim tomie „Bajek” autorka częściowo odeszła od tej stylistyki, na rzecz nadawania imion ludzkich np. ptakom. Niestety nie mówią one nic o samym bohaterze, jakiej jest barwy, jakiego usposobienia czy jakie posiada zdolności. Taka identyfikacja imienna wydaje się być zbyt dosłowna, a ulatuje gdzieś cząstka humoru i baśniowości.

Na szczęście, dawki humoru i baśniowości jest w książkach Anny Mikity tak dużo, a ilustracje czarujące, że ocena może być jedynie pozytywna. Szczególnie, iż dobrze wydanych pozycji dla dzieci na Warmii i Mazurach nadal jest niewiele. A przy okazji, czy czytając bajkę o „Najpiękniejszym Domku” nad Najmniejszym Jeziołem W Mieście nie macie wrażenia, że to o naszym (i autorki) Olsztynie?

A. Mikita, *Bajki w zielonych sukienkach*, Kielce 2017.

A. Mikita, *Bajki w zielonych spodenkach*, Kielce 2018.

A. Mikita, *Baśniowy świat ekologii*, „Gazeta Olsztyńska” 2015, nr 129, dod. „Blżej Natury”, s. 12-13.

PIOTR PRZYTUŁA

Struktura autorytetu

Olsztyńscy wielbiele prozy Jacka Dukaja długo musieli czekać na spotkanie ze swoim ulubionym autorem. Doszło do niego w końcu 3 września 2018 roku w Planecie 11. Niezbyt często pojawiający się publicznie pisarz dał tam popis swojej erudycji, jawiąc się jako niekwestionowany autorytet w dziedzinie współczesnej kultury.

Dlaczego akurat autor *Lodu* zasługuje na to zaszczytne miano? Otóż dlatego, że to jeden z najważniejszych (i najciekawszych) współczesnych polskich pisarzy, autor śmiałych projektów literackich przekraczających granice wyobrażeń, gatunków i języka, okrzyknięty godnym sukcesorem Stanisława Lema twórcą fascynujących światów, którego wielkie pisarskie ambicje równoważone są umiejętnościami prozatorskimi i potencjałem intelektualnym.

Kwestia uznania kogoś za autorytet wydaje się jednak dużo bardziej skomplikowana. Jak w ogóle zmierzyć kategorię o tak dużej liczbie zmiennych? Jakich argumentów używać? Czy istnieje obiektywna teoria pomiaru autorytetu? I, w końcu, jak przeprowadzić takie badania bez popadania w laudacyjny ton?

W ramach próby odpowiedzi proponuję sięgnięcie po narzędzia z dziedziny socjologii literatury, a konkretnie po teorię pól literackich Pierre'a Bourdieu, a następnie zajrzenie do książki *Ekonomia prestiżu* Jamesa Englisha.

Gdyby wyprowadzoną przez Bourdieu teorię odnieść do rodzimej fantastyki, Jacek Dukaj rzeczywiście zajmowałby pozycję autora konsekrowanego, a więc dominującą względem konkurentów z pola literackiego. Status ten osiągnął poprzez wieloletnią akumulację kapitału symbolicznego („uznanie i prestiż, uwiarygodniające formułowane sądy i tworzone hierarchie”¹) oraz kulturowego („kompetencje jednostki, posiadana wiedza i umiejętności”²). W pierwszym przypadku o prestiżu Dukaja świadczyć będą chociażby sądy krytyków (wśród nich znaleźli się Jerzy Jarzębski, Przemysław Czapliński, Dariusz Nowacki i Paweł Dunin-Wąsowicz), stawiające go w jednym rzędzie właśnie z Lemem oraz funkcjonowanie w ramach jednego z najważniejszych polskich wydawnictw. W drugim – będzie to kulturowa erudycja pisarza i wysoki poziom artystyczny jego dzieł.

To jednak nie wszystkie elementy sytuujące pisarza na literackim parnasie. Znaczenie w tym kontekście mają nie tylko powieści i opowiadania Dukaja, lecz także jego teksty krytyczne, które, wykraczając z czasem poza wymiar środowiskowy, uczyniły go autorytetem kształtującym gusta odbiorców i popyt na konkretnych autorów. Wśród głośnych tekstów, które zapewniły Dukajowi pozycję wyroczni w sprawach literatury fantastycznej, wskazać należy m.in. *Filozofię fantasy*, piętnującą pisarskie błędy kolegów po piórze, skierowane do krytyków zestawienie 10 sposobów na zgnojenie książki, artykuł *Polska fantastyka po Lemie*, podejmujący m.in. zagadnienie „cienia” naczelnego polskiego futurologa,

rzucanego na rodzime środowisko literackie. Ważnym tekstem zawierającym swoisty manifest artystyczny, eksponującym zamiłowanie pisarza do prozy rozlanej na setkach stron, jest *Lament miłośnika cegieł*. Na koniec wspomnieć należy też o gorzkim w wymowie szkicu o stanie rynku fantastyki w Polsce *Krajobraz po zwycięstwie, czyli polska fantastyka AD 2006*, po którym Dukaj publikuje teksty krytyczne już znacznie rzadziej.

Ponieważ „mechanizmem kształtującym hierarchię w polu jest funkcjonujący w nim system nagród”³, jednym z bardziej skutecznych i obiektywnych sposobów określenia statusu danego autora wydaje się liczba i jakość otrzymanych przez niego literackich laurów. „Uświadczenie” Dukaja, jako arbitra w kwestiach rozstrzygnięć kulturowych, nastąpiło bowiem poprzez zdobycie nie tylko rekordowej liczby nagród branżowych – sześciu Nagród im. Janusza A. Zajdla (przy 11 nominacjach), czterech Nagród Literackich im. Jerzego Żuławskiego, trzech „Śląkf” oraz „Sfinksa” – ale także tych, którymi honoruje się twórców tzw. głównego nurtu. W roku 2008 autor otrzymał za *Lód* Nagrodę Kościelskich i nominację do Nagrody Literackiej Nike, a jego powieść została wybrana książką XX-lecia w plebiscycie tygodnika „Polityka”. Rok później zbiór laurów uzupełniła Europejska Nagroda Literacka.

Tyle jeśli chodzi o fakty. Przynajmniej w tym zakresie z powodzeniem możemy uznać Dukaja za autorytet. A co na ten temat sądzi główny zainteresowany? Jak powiedział w jednym z wywiadów: „Sama idea ‘argumentu z autorytetu’ jawi mi się odrażającą. Tu i ówdzie już brałem ‘autorytet’ pod nóż, między innymi w *Lodzie*. Otworzę szampana, gdy w tych cyklicznych umoralniających raportach »Polityki« czy »Tygodnika Powszechnego« większość Polaków nie będzie miała nareszcie żadnych autorytetów, tylko własny rozum i sumienie. Co to w ogóle za stan umysłu, w którym przyjmuję (...) że dane twierdzenie jest prawdą albo dana rzecz jest dobra, ponieważ X tak powiedział? Co to za ideał społeczeństwa?”⁴.

Słowa Dukaja podają w wątpliwość całe powyższe rozważania. I słusznie – dla czytelników, czekających z wypiekami na kolejne jego teksty, podobne roztrząsania nie mają najmniejszego sensu.

¹ K. Kaczor, *Z „getta” do mainstreamu. Pole literackie fantasy*, Kraków 2017, s. 24.

² Tamże.

³ Tamże, s. 76.

⁴ *Moc generowania sensów*; z Jackiem Dukajem rozmawiali redaktorzy „Esencji”, <http://esensja.pl/ksiazka/wywiady/tekst.html?id=10943&strona=1#strony> (dostęp: 20.09.2018).

ANDRZEJ FABISIAK

Laudacja na cześć artystów

Szanowni Państwo,

przypadł mi w udziale wielki zaszczyt, a równocześnie przyjemność prezentacji Państwu znakomitych artystów malarzy, wspaniałych ludzi: Mirosławy Smerek-Bieleckiej i Jerzego Wojciecha Bieleckiego, którym Kapituła przyznała Nagrodę Prezydenta Olsztyna im. Hieronima Skurpskiego w dziedzinie sztuk plastycznych.

Ta prestiżowa nagroda pointuje dotychczasową pracę artystyczną i pedagogiczną twórców, których dokonania mogłyby wypełnić niejedną książkę.

Ich wspólny świat to nie tylko małżeństwo, rodzina z wnuczkami, udział w ponad 70 wystawach zbiorowych, lecz także wieloletnia praca edukacyjna – Mirosławy w Osiedlowych Klubach Kultury Spółdzielni Mieszkaniowej Jaroty, Jerzego w Grupie Kraplak. To nie do przecenienia proces uczenia warsztatu malarzkiego pasjonatów sztuki, w relacji wymiany doświadczeń mistrz-uczeń, z sukcesami wielu udanych wystaw, artystycznych plenerów przedstawiających efekty pracy adeptów malarstwa. Uczestnicy zajęć prezentują dojrzały warsztat doceniany zarówno przez konkursowe jury, jak i profesjonalnych malarzy. Od wielu lat oboje wspierają aukcje charytatywne, przekazując obrazy na rzecz potrzebujących pomocy. Zaangażowani społecznie, aktywnie uczestniczą w życiu kulturalnym Olsztyna, Warmii i Mazur, Polski. To postacie znane i cennie, dla wielu autorytety, wybitne osobowości kultury olsztyńskiej. Budują filozofię życia, polegającą na tworzeniu wartości sukcesu sztuki poprzez długi proces ustawicznego doskonalenia warsztatu artystycznego. Ważną rolę w doświadczeniu sztuki malarstwa odegrały ich studia na Wydziale Sztuk Pięknych Uniwersytetu im. Mikołaja Kopernika w Toruniu, podczas których poznali siebie i swoich pierwszych mistrzów. Oboje obronili dyplomy w roku 1979, Mirosława z malarstwa w pracowni prof. Mieczysława Wiśniewskiego, a Jerzy z grafiki warsztatowej w pracowni prof. Edwarda Piotrowicza.

Oboje trafili do limeryku Jerzego Szczudlika:

Mira i Jurek, para plastyków z Olsztyna,
Na początku kariery „zmalowała” syna;
Potem dnie całe przy sztalugach
I pędzli armia na usługach,
W dorobku zatem nagród istna pajęczyna.

Twórczość artystyczna Mirosławy i Jerzego to dwa odrębne światy, dwie różne drogi twórcze naznaczone indywidualną i rozpoznawalną autorską konwencją malarstwa.

Mirosława Smerek-Bielecka zajmuje się głównie malarstwem sztalugowym. Charakterystyczne w jej malarstwie są cykle, m.in.: „Walizki”, „Torebki”, „Parawany”. Danuta Glińska, autorka książki o Mirosławie pt. „Malarska podróż”, tak napisała o jej twórczości: „Umiejętność zestawienia realistycznie namalowanych przedmiotów odmiennych znaczeniowo w kompozycji niedające się jednoznacznie zinterpretować stanowią istotę malarstwa olsztyńskiej artystki. Niedopowiedzenie, niejednoznaczność, a czasem w pozoru chaotyczne



Z cyklu walizki – *Skrywane tajemnice*, 2010, olej na płycie, 50 x 60 cm – Mirosława Smerek-Bielecka

położenie plam na płaszczyźnie obrazu tworzą metaforyczny nastrój dający szerokie możliwości indywidualnego odbioru symbolicznej treści (...) [Jez sztuka] niesie w sobie zagadkę i niezgłębianą tajemnicę. Tajemnicę, którą chętnie ukrywa za parawanem, w walizce, czy wnętrzu pełnym lalek, klau-nów, pierrotów". Mirosława sama pyta: „W jakim nurcie umieściłabym swoje malarstwo? Chyba w figuratywnym, a może to symbolizm poetycki?”. Profesor Stanisław Tabisz napisał: „Interpretacji może być wiele, bo w brązach Miry Smerek-Bieleckiej trzeba także odnaleźć swoje pragnienia i fascynacje, swoje, przytłoczone regułami dorosłego życia, najwspanialsze doznania". Mirosława w swoim dorobku ma 44 wystawy indywidualne oraz udział w 88 wystawach zbiorowych.

Swoje prace prezentowała m.in.: w Niemczech, Francji, Danii, Szwecji, Grecji, USA, Rosji, Anglii, Ukrainie, Włoszech oraz Polsce: w Warszawie, Sopocie, Poznaniu, Zielonej Górze, Gdyni, Szczecinie, Olsztynie. Jej obrazy są w zbiorach m.in.: Muzeum Warmii i Mazur w Olsztynie, Galerii Sztuki Współczesnej BWA w Olsztynie, Royal Theatre w Plymouth (Anglia), Stowarzyszenia Sztuki Bramsnes (Dania), Saint Brieuc (Francja), w kolekcji Watykanu w Rzymie.

Jerzy Wojciech Bielecki uprawia malarstwo, grafikę, rysunek i ilustrację. Krakowski krytyk sztuki, Jerzy Madeyski, napisał: „J. W. Bielecki dysponuje warsztatem, którego niejeden mógłby mu pozazdrościć, jest bowiem biegłym rysownikiem, a w modelunku sięga poziomu starej jak świat sztuki iluzji (...). Najlepiej jednak czuje się w jego połączeniu z budującą formę linią florenckiego quattrocenta, tak jak to czynili mistrzowie nadrealizmu, i swobodą malarstwa gestu. Zatem precyzja, lekkość i spontaniczność złączone w szczęśliwym mariażu. (...) Bielecki jest poetą. Kluczem poezji też należy otwierać drzwi wiodące do jego malarstwa". O swojej idei malarstwa Jerzy tak mówi: „Jest mnóstwo środków przekazu, zajmujących się mieleniem rzeczywistości i komentarzami do niej. Malarstwo tego robić nie musi. Zawsze mu było bliżej do muzyki i poezji. »Obraz, który nie jest poetycki – nie jest obrazem w ogóle« powiedziała któraś polska malarka. I ja się pod tym podpisuję". Sławomir Bołdok napisał zaś: „Obrazy Bieleckiego cechuje gra inteligentnych odniesień treściowych oraz bogactwo szczegółów. Wrażenie iście barokowego stylu potęgują jeszcze jego finezyjne rysunki, w których zaskakujące

zestawienia przedmiotów, nakreślone przy pomocy zawitych i dekoracyjnych kresek, nawiązują swoim charakterem do prac dawnych mistrzów". Jerzy mistrzowsko tworzy autorskie wizje fantasmagorycznych pejzaży i muzycznych portretów ludzi opery. Z tajemnicą i podtekstami budującymi osobiste anegdoty. Z empatią, humorem i celną obserwacją człowieka uwikłanego w metafizykę życia. Maluje też z widoczną przyjemnością, a jego radość i ciekawość udzielają się widzom. W swoim dorobku artysta ma ponad 50 wystaw indywidualnych i ponad 90 zbiorowych w Polsce, Europie i Stanach Zjednoczonych. Mistrz Hieronim Skurpski napisał 10 lipca 1993 roku w swoim dzienniku: „Forma nade wszystko. Owo świadomie podjęte sformułowanie realizacyjne. Forma prosta, nawet monumentalna, a prócz tego kolor i kolor. Również prosty, przejrzysty, a więc i zaskakujące zestawienia, a ponadto nastrój, poetycki nastrój, żywy i ruchliwy, dający ten duchowy wyraz, gdzie autor uzewnętrznia swą mądrość, gdzie kontaktuje się ze swym bliźnim". Ten artystyczny program Mistrza znakomicie koresponduje z twórczością Mirosławy i Jerzego. Niech w poincie przemówią strofy poezji Jerzego Szczudlika:

Zdolny Jurek z Sejn, zdolna też Mira z Giżycka
W krajobraz Warmii wrosli jak wieża gotycka.
A że ich pędzle oraz palety
Znane są w każdym kącie planety,
Dziś nagroda od Mistrza, z nieba, choć... laicka.



Bez tytułu, olej na płycie, 30 x 40 cm – Jerzy Wojciech Bielecki

Z GRZEGORZEM GROMKIEM rozmawia JOANNA CIEŚLIŃSKA:

Nie narzucamy sobie żadnych ram

Skąd pomysł na Teatr Nowy – kto zapoczątkował inicjatywę? Ile osób tworzy obecnie Teatr?

Mam wrażenie, że w tak dużym mieście, jakim jest Olsztyn, powinien funkcjonować drugi teatr, który w naturalny sposób będzie poszerzał ofertę kulturalną dla mieszkańców miasta i regionu. W innych dużych miastach takie teatry istnieją i działają z dużym powodzeniem, więc dlaczego nie u nas? W tej chwili formalnie naszym teatrem zajmują się tylko dwie osoby. Do tego oczywiście dochodzą aktorzy; przy pierwszej premierze była to Marzenka Bergmann, a przy kolejnej Irena Telesz. Wspierają nas całe zastępy przyjaciół – nie tylko dobrym słowem, lecz także wykonują kawał wymiernej pracy.

Teatr Nowy – nowy to nowatorski, odmienny formalnie, nietradycyjny, eksperymentalny?...

Nie narzucamy sobie żadnych ram, nie chcemy się zasufladkować i zostać niewolnikami własnych pomysłów. Nie jesteśmy od nikogo zależni, więc możemy robić to, na co nam przyjdzie ochota. Dziś są to spektakle raczej z nurtu teatru rozrywkowego, ale nasze plany są bardzo ambitne... Tylko proszę pamiętać, że za wolność trzeba płacić – to znaczy, że my musimy na wszystko zarobić sami. Nam nikt nic nie daje. Więc rozpoczynanie od wysokiego C byłoby bardzo ryzykowne.

Jak od strony formalnej wygląda budowanie teatru od podstaw? Czy mogli Państwo liczyć na wsparcie finansowe z grantów czy projektów?

O wsparcie w postaci grantów czy dotacji będziemy mogli się starać, kiedy zakończy się proces zakładania fundacji Teatru Nowego. Nasza druga premiera została w całości sfinansowana z naszych prywatnych oszczędności...

Fot. Łukasz Pepol



Co stanowiło największą przeszkodę podczas powoływania Teatru do życia?

Chyba strach przed porażką...

Na jakie teksty stawia Teatr Nowy? To chyba w jakimś stopniu aktorski i literacki wentyl.

Gram, co chcę, sam dobieram nazwiska i role. Nie mamy sprecyzowanego nurtu, w którym chcemy się obracać. Ja nawet nie jestem pewien, że ma to być teatr oparty na tekście... Czas pokaże, w którą stronę pójdziemy.

Rozumiem, że sama inicjatywa wynika też z przekonania, że teatr niezinstytucjonalizowany ma szansę przetrwać i utrzymać się na powierzchni?

To nie jest kwestia przekonania tylko twardych faktów. Wystarczy podejrzeć, jak robią to inni, w innych miastach, w których takie teatry świetnie sobie radzą. Dlaczego nie mamy się uczyć od tych, którzy wiedzą, jak to robić? I nie mówię tu o kopiowaniu gotowych wzorców na uprawianie teatru, tylko o pewnych mechanizmach w zarządzaniu, które pozwalają takim teatrom funkcjonować.

Na co chętniej, według Pana, wybiera się częściej olsztyński widz? Głównie klasyka czy też zaciekawia go współczesne, czasami absolutnie świeże, nazwiska?

Z mojego doświadczenia wynika, że potrzeby widzów są bardzo zróżnicowane i nie można, według mnie, postawić tezy, że olsztyński widz lubi tylko klasykę lub tylko nowatorski eksperyment.

Jak postrzega Pan politykę kulturalną miasta – czy jest przyjazna artystom i sprzyja nowym inicjatywom?

Wydaje mi się, że mamy w mieście ogromny potencjał, który jest różnie wykorzystywany. Z mojego doświadczenia wynika, że tragedii nie ma, co nie znaczy, że wszystko jest jak w bajce. Wszyscy się cały czas uczymy.

Jakie plany dla Teatru Nowego? Gdzie możemy Państwa zobaczyć i śledzić zapowiedzi?

Nasza druga premiera odbyła się 29 lipca w Sali Kameralnej pod Amfiteatrem im. Czesława Niemena w Olsztynie. Była to światowa prapremiera białoruskiej dramatisarki Swietłany Molnaji. Tekst w mojej adaptacji i w tłumaczeniu Ireny Telesz nosi nazwę „Stara Wiosna”. Korzenie rodowe Irenki sięgają właśnie obecnej Białorusi i stąd jest pomysł na ten tekst. Nie



KATARZYNA GUZEWICZ

Przewrotność

ukrywam, że znajomość Swietłany i Ireny była dla nas zbawienna, ponieważ mogliśmy zrobić pewne zmiany, żeby móc umieścić to w polskich realiach.

Do końca roku chcemy dać jeszcze jedną premierę, tak żeby w nowy rok wejść z trzema przedstawieniami, które będzie można grać regularnie. Nie mamy jeszcze swojej siedziby i pewnie jeszcze trochę czasu upłynie, zanim będziemy „na swoim”, więc musimy wynajmować przestrzeń, w których gramy na zasadach komercyjnych. Staramy się też jeździć po tzw. regionie – wszędzie tam, gdzie nas chcą.

Grzegorz Gromek o sobie samym...**Mój teatralny autorytet to...**

Jerzy Grotowski

Największym wyzwaniem aktorskim było...

Każdą kolejną rolę traktuję jako największe wyzwanie...

Ulubiony cytat z roli, którą grałem...

„Przynajmniej próbowałem, ja przynajmniej próbowałem...” – „Lot nad kukłczym gniazdem”

Gdybym nie był aktorem...

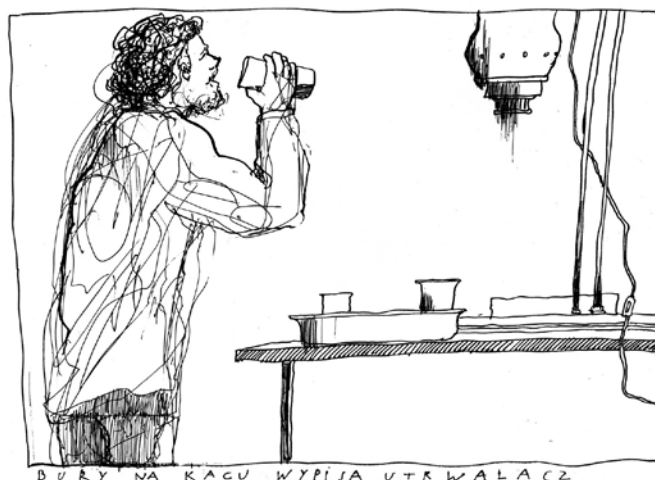
Miałem (i nadal mam) wiele pomysłów na realizację siebie. Są to pomysły tak oddalone od siebie, że ciężko znaleźć jakąś nić, która by je łączyła. Od bycia cukiernikiem i kucharzem poprzez bycie budowlancem i rolnikiem, do ucieczki w świat filozoficznych rozważań... Od bycia muzykiem do bycia kolejarzem... I tak w nieskończoność. Jest tyle fajnych rzeczy do robienia w życiu.

GRZEGORZ GROMEK (ur. 1981 w Olsztynie) – absolwent Studium Aktorskiego im. Aleksandra Sewruka w Olsztynie oraz kierunku filozofia na Uniwersytecie Warmińsko-Mazurskim, związany z Teatrem im. Stefana Jaracza w swoim rodzinnym mieście. Laureat nagród i wyróżnień, m.in. Teatralna Kreacja Roku czy Nagroda Festiwalu Teatru Polskiego Radia i Teatru Telewizji Polskiej „Dwa Teatry”. Pomysłodawca olsztyńskiego Teatru Nowego.

Mistrz napisał w jednym z mejli: „Nie wiem, co to znaczy czuć się starym. Wszystko, łącznie ze śmiercią, przeżywamy po raz pierwszy w życiu i jak smakowało, dowiadujemy się ex post...”. Nie był przywiązany do rzeczy materialnych, miały one tylko służyć komfortowi. Za sprzątanie przepłacał, za remonty i naprawy też. Członkowie prostej rodziny K., którzy owe prace wykonywali, uważali go za zmanierowanego bogacza, który dostaje krocie za swoje prace. Synowie K. prawdopodobnie podkradali mu pieniądze, gdy ich matka sprzątała w domu malarza. Beksirski nie zwrócił im uwagi, bo, jak sam przyznawał, nie miał w sobie stanowczości. Nie potrafił pilnować swoich finansów. W ogóle nie był cwany w tych rzeczach, a jego myśli zaprzątały inne sprawy. Jak ustawić grzejniki, żeby temperatura w mieszkaniu była idealna do malowania. Unikanie niechcianych telefonów (a te dzwoniły od rana do wieczora, bo ciągle ktoś czegoś chciał). Sposób zamontowania lustra w łazience (tak żeby widzieć, czy zmyło się cały szampon z głowy). Jaki nowy sprzęt warto kupić.

Nie lubił zamieszania, zmian, nie znosił wernisaży (nie pojawiał się nawet na własnych), nie śledził wiadomości i nie znał nazwisk celebrytów. Ci, którzy go poznawali, byli zdziwieni, że można być osobą tak dobrą i pogodną, gdy się straciło całą rodzinę. Przy tym wszystkim Beksirski był ironiczny i dowcipny: „(...) teraz jestem na etapie załatwiania ze spółdzielnią korytarzyka łączącego (...) mieszkania. Stosowni ludzie (...) przyjęli już korzyść majątkową. Znajoma pani powiedziała, że powinienem po kolei wykupić cały ten ogromny blok, a mnie przyszło do głowy, by połączyć go labiryntem korytarzy. W końcu gdzieś umieram i leżę jak faraon w piramidzie, a nikt nie umie odnaleźć moich zwłok, gubiąc się w nieskończonym labiryncie...”. Został zamordowany 21 lutego 2005 roku we własnym mieszkaniu. Zabił go syn K., jego „złotej rączki”, gdy artysta odmówił pożyczki. Jego ciało znaleziono bez trudu, bo morderca wyniósł je na balkon. Zginął z powodu ludzkiej głupoty i chciwości, od których starał się trzymać jak najdalej.

L. Śnieg-Czaplewska, Bex@. Korespondencja mailowa ze Zdzisławem Beksirskim, Warszawa 2005.



Rys. Kazimierz Jałowczyk

DUR NA KAGU WYPIJA UTRWALACZ

Studenci dziennikarstwa i komunikacji społecznej, seminarzyści dr MAGDALENY SZYDŁOWSKIEJ (UWM w Olsztynie) wypowiadają się na temat:

Kryzysu autorytetu

Jak rozumiecie pojęcie autorytetu? Spróbujcie je zdefiniować.

Klaudia: Według mnie autorytet to inaczej uznanie społeczne, to osoba ceniona w danym społeczeństwie.

Kamil: To również wzór godny naśladowania, zwłaszcza gdy znajdziemy taką osobę specjalizującą się w dziedzinie, która nas szczególnie interesuje. Można śmiało stwierdzić, że autorytetem nazwiemy kogoś, kogo szanujemy, którego decyzje uznajemy za słuszne. Ktoś, kto swoim zachowaniem, swoją osobowością nie tylko przyciąga nas do siebie, lecz także mobilizuje do tego, by powielać jego zachowania, traktując go poniekąd jako swojego przewodnika.

Aga: Dla mnie autorytet to raczej zestaw cech godnych podziwu i szacunku, których szukam w innych ludziach. Nie jest to raczej jedna osoba, bo trudno jest znaleźć wszystkie pożądane cechy w jednym człowieku.

Jaki powinien być autorytet? Co nam daje posiadanie autorytetu?

Krzysztof: Autorytety pomagają człowiekowi znaleźć właściwą drogę i podążać według jej zasad, ale to od nas zależy ostateczny wybór tej życiowej drogi. Dla mnie najważniejsze to być sobą.

Sylwia: Dzięki takiej osobie wiemy, jak postąpić w sytuacji, która być może nas przerasta.

Agnieszka: Autorytet to nie ktoś, kto powie nam, jak żyć, to nie dyktator. To osoba, która będzie przykładem i wzorem. Gdy nie wiemy, co robić albo się pogubimy, wskaże nam dobre rozwiązanie.

Justyna: Ważne jest, by taka osoba była dla nas wzorem do naśladowania, od której uczuliśmy się, jak z dumą i podniesioną głową iść przez życie oraz jak być lepszym człowiekiem. Ponadto powinna wzbudzać w nas chęć do życia, motywację do działania i pozytywne myślenie nawet w najtrudniejszych sytuacjach.

Czy wy macie zatem taki drogowskaz w swoim życiu? Odnaleźliście w kimś zestaw cech godnych naśladowania? A może nie potrzebujecie autorytetu?

Łukasz: Uważam, że nie musimy mieć autorytetów. Sam, tak jak pewnie każdy, mam swoich ulubionych sportowców, muzyków, aktorów czy innych ludzi show-biznesu. Jednak wielu z nas myli pojęcie autorytetu z popularnością. Pamiętajmy, że to my jesteśmy kowalami własnego losu, to my, a nie podziwiana gwiazda, podejmujemy decyzje i ponosimy ich konsekwencje.

Aga: Również mam wrażenie, że ludzie nadużywają słowa autorytet w stosunku do lubianych osób. Ja wciąż poszukuję autorytetu, osoby odpowiedzialnej, zorganizowanej, pracowitej i empatycznej.

Justyna: Posiadanie autorytetu nie jest koniecznością, nie warto szukać go na siłę.

Klaudia: Dla mnie autorytetem są moi rodzice. To oni pokazali mi to, co w życiu ma największą wartość. To dzięki nim nauczyłam się wiele i nie boję się życia.

Czyli autorytet to zarówno znane, sławne osoby, jak i te z naszego otoczenia?

Agnieszka: Dla każdego autorytetem może być ktoś inny – dla jednego będzie nim znana osoba, naukowiec, papież, celebryta, a dla drugiego zupełnie nieznaną osobą, na przykład mamą, dziadkiem, przyjacielem lub nauczycielem.

Krzysztof: Na pewno znajdziemy autorytety wśród wybitnych Polaków – Jan Paweł II, Mikołaj Kopernik czy Maria Curie-Skłodowska. Jednak naszym mentorem może być ktoś z naszego otoczenia, np. rodzice.

Justyna: W dzisiejszych czasach, czyli w dobie internetu, wiele osób wybiera za swój autorytet celebrytkę, aktorkę czy „gwiazdę Instagramu”. Warto zastanowić się, czy te osoby są tego godne. Nie od dziś wiadomo, że osoby publiczne w pewien sposób kreują swój wizerunek i na różnorodnych portalach ukazują siebie tylko z tej pozytywnej strony.

Aga: Niestety młodzi ludzie nie do końca są tego świadomi. Ostatnio rozmawiałam z 13-letnią dziewczynką o tym, kim chciałaby zostać w przyszłości oraz kto jest jej autorytetem. Dowiedziałam się, że jej marzeniem jest zostać youtuberką, a wzorem do naśladowania są znane internetowe makijażystki i influencerki. Z jednej strony pozytywnie zaskoczyła mnie ta informacja, ponieważ nie spodziewałam się, że młodzież ma jeszcze autorytety. Z drugiej jednak strony smuci mnie, że autorytety te są dość wątpliwe.

Kamil: Kiedy zapytasz znajomych lub poczytasz wypowiedzi sławnych ludzi, gdy wspominają swoje autorytety, zazwyczaj pojawiają się znane nazwiska osób, które nie tylko osiągnęły sławę, ale i miały wpływ na kształtowanie postaw i świadomości wchodzących w dorosłość ludzi. Wystarczy popatrzeć, jaki wpływ miał piłkarz Pele na cały piłkarski świat, kim dla świata kina był Marlon Brando czy jak ważny dla ludzi na całym świecie był Mahatma Gandhi.

Z waszych wypowiedzi wynika, że brakuje współczesnych autorytetów, a te, które mogą nimi być, są raczej wątpliwej jakości. Możemy w takim razie mówić o kryzysie autorytetu?

Sylwia: Niemożność znalezienia autorytetu w jednej osobie odzwierciedla nasze współczesne realia i chęć „zabłyśnięcia”. My sami chcemy zostać autorytetem, a nie być czymś odbiciem.

Krzysztof: Mówi się, że każdy z nas jest kowalem własnego losu i to od nas zależy, jak pokierujemy swoim życiem.

KRZYSZTOF D. SZATRAWSKI

Muzyka religijna XXI wieku

Chóry zawsze były ważnym elementem życia artystycznego stolicy Warmii. Już w pierwszych powojennych miesiącach powstały w Olsztynie pierwsze trzy zespoły śpiewacze. Siedemdziesiąt lat później trudno byłoby sobie wyobrazić historię olsztyńskiej kultury bez dziesiątków chórów i tysięcy śpiewających w nich chórzystów. Jest to nie tylko istotny wkład w życie artystyczne, lecz także ogromny potencjał społeczny. I właśnie zbiorowy aspekt śpiewu chóralnego najlepiej odzwierciedla społeczny wymiar religijności.

Muzyka religijna, oparta na słowach poetów i proroków lub wprost na słowach modlitwy, muzyka duchowa i natchniona – najpełniej rozbrzmiewa w chórze ludzkich głosów. Ludzki głos, jako najbardziej adekwatny sposób wyrażania uczuć i przekonań, zwłaszcza zwielokrotniony w śpiewie chóralnym, otwiera przed muzyką religijną ogromną przestrzeń ekspresji. Tu łączą się pierwiastki indywidualne i społeczne, intelektualne i duchowe. Nic dziwnego, że w muzyce religijnej od tysięcy lat odnajdują istotę śpiewu zespołowego kompozytorzy i chóry.

Z podobnych przesłanek wyszli organizatorzy koncertu trzech chórów, którzy 17 czerwca 2018 roku w olsztyńskiej Konkatedrze św. Jakuba zaprezentowali imponujący program współczesnej muzyki religijnej. Wystąpiły trzy zespoły śpiewacze prowadzone przez dwoje dyrygentów i chórmistrzów Agatę Wilińską i Janusza Wilińskiego: Chór Dziewczęcy „Cantabile” Państwowej Szkoły Muzycznej w Olsztynie, Olsztyński Chór „Collegium Baccalarum” oraz Olsztyński Chór Kameralny „Collegium Musicum”, a także Zespół Instrumentalny „Sinfonia Varmiensis”.

Interesujący program prezentował religijną muzykę – 11 utworów napisanych przez 9 kompozytorów z 7 krajów – zgodnie z tytułem koncertu, muzykę naszego wieku. Aby być drobiazgowym, należy podkreślić, że w programie można było znaleźć także kompozycje z wcześniejszych dekad, np. *Zdrowaś bądź Maryja* Henryka Mikołaja Góreckiego (1985), *Alleluja* Ralpa Manuela (1987) czy *Donna Nobis Pacem* Mary Lynn Lightfoot (1995), z punktu widzenia współczesności są one jednak nie mniej cenne. W kulturze kontynuacja ważniejsza jest niż jakiegokolwiek sztuczne cezury, a kompozycje ostatnich dekad XX wieku stają się naturalnym punktem wyjścia dla twórców muzyki nowego tysiąclecia. Warto zauważyć, że przy tak zróżnicowanym wyborze ponad 70 procent prezentowanej muzyki to utwory skomponowane w ciągu ostatnich 15 lat.

Zgodnie z założeniem najcenniejsze były prezentacje młodych kompozytorów. W twórczości muzycznej młodość trwa jednak równie długo jak wśród dyrygentów i reżyserów filmowych. Zatem pięćdziesiątka – Michael McGlynn z Irlandii i Urmas Sisask z Estonii – czy nawet czterdziestolatki Erics Esenvalds z Łotwy i Ola Gjeilo z Norwegii to twórcy, którzy właściwą karierę dopiero zaczęli. Wykonanie utworów tych dwu kompozytorów stało się kulminacją całego programu. Zadecydowała o tym świeża wizja artystyczna, zróżnicowana faktura, bogactwo barw i środków ekspresji. W *O salutaris hostia* Esenvaldsa partie solowe pięknie zaśpiewały Alicja Czulewicz i Katarzyna Miller.

Koncert został pomyślany jako prezentacja trzech olsztyńskich chórów, jednak, aby uniknąć automatycznego podziału na trzy części, występy zespołów połączono dwiema kompozycjami, w których występowały wszystkie trzy chóry z towarzyszeniem instrumentalnym. Były to Gloria z *Missa Claromontana* Mariana Sawy oraz *Trinity Te Deum* Ericsa Esenvaldsa. W Głoni wystąpili Jarosław Ciecierski na organach i Sławomir Horodyski na kottach, w *Trinity Te Deum* zespół „Sinfonia Varmiensis”.

Mimo że prezentacja miała charakter przeglądowy, twórcy koncertu zadbał o silne powiązanie całości jako swoistego spektaklu, który rozpoczął chórzystki „Cantabile” wnoszące zapalone świece, a zakończyło wyjście wszystkich artystów ze świecami. Ten prosty zabieg stworzył ramy muzycznego misterium. Wnętrze konkatedry, interesujący repertuar, piękne głosy, dyscyplina i świadomość wykonawców – wszystko to zdecydowało o artystycznym sukcesie olsztyńskich chórzystów.

I byłby to piękny koncert, gdyby nie sytuacja, w jakiej się odbył. Po czterech dziesięcioleciach pracy dla olsztyńskiej kultury Olsztyński Chór Kameralny „Collegium Musicum” stracił siedzibę w MOK. Archiwum zespołu rozproszone w prywatnych domach i niepewna przyszłość chóru mogą sprawić, że realnie obniży się jego status. W zespołach nieprofesjonalnych szacunek i uznanie muszą wystarczyć za całe wynagrodzenie. Jeśli nie będziemy doceniać chórzystów, wielu utalentowanych ludzi zrezygnuje ze śpiewania. A w rezultacie jeszcze jedna instytucja kulturalna przestanie istnieć. Bo olsztyńskie chóry są instytucjami kulturalnymi, nawet jeśli niektórym wydaje się, że tylko etaty tworzą instytucje.



Fot. z archiwum Collegium Musicum

STANISŁAW TARASEWICZ

Stowarzyszenie im. Arno Holza dla Porozumienia Polsko-Niemieckiego w Kętrzynie

Stowarzyszenie imienia Arno Holza dla Porozumienia Polsko-Niemieckiego zostało założone pod koniec 1996 roku, a działalność statutową rozpoczęło w 1997 roku. Obecnie Stowarzyszenie liczy 44 członków, w tym 18 z Niemiec (mieszkańcy dawnego Rastenburga bądź jego okolic). W pierwszym okresie działalności Stowarzyszenie objęło jako siedzibę budynek łoży masonskiej w Kętrzynie, a następnie skupiło się na działaniach zmierzających do remontu i przywrócenia zabytkowemu budynkowi dawnej świetności. W kolejnych latach w budynku łoży znajdowały siedzibę instytucje kulturalne, między innymi Kętrzyńskie Centrum Kultury i filia Biblioteki Miejskiej im. Wojciecha Kętrzyńskiego. Od początku zorganizowano też bibliotekę Stowarzyszenia, w której odbywały się odczyty, spotkania autorskie i kursy językowe.

Główne cele działalności stowarzyszenia obejmują tworzenie warunków do współpracy społeczności rejonu kętrzyńskiego z organizacjami niemieckimi w ramach pojednania polsko-niemieckiego, popieranie podnoszenia poziomu wiedzy i oświaty wśród dzieci i młodzieży, wspieranie działań służących kształtowaniu wymiany doświadczeń intelektualnych i kulturalnych, a w szczególności popieranie rozwoju kontaktów młodzieży polskiej i niemieckiej, a także usprawnianie działań służących rozwojowi oświaty, kultury i sportu.

W ramach szeroko pojętego pojednania Stowarzyszenie im. Arno Holza dla Porozumienia Polsko-Niemieckiego realizuje swoje główne cele statutowe. Świadczą o tym liczne imprezy i zadania realizowane na przestrzeni wielu lat działalności. W grudniu 2008 roku zorganizowano spotkanie zatytułowane „Tradycje trzech kultur – niemieckiej, wileńskiej i ukraińskiej”. W tym samym roku, 19 grudnia, wigilia zgromadziła przedstawicieli miasta i członków kętrzyńskich stowarzyszeń: Stowarzyszenia Mniejszości Niemieckiej, Towarzystwa Ziemi Kętrzyńskiej, Towarzystwa Miłośników Kętrzyna, Stowarzyszenia Oświatowego i Stowarzyszenia im. Arno Holza dla Porozumienia Polsko-Niemieckiego. Imprezy te były kolejną próbą scalenia stowarzyszeń i organizacji pozarządowych oraz mieszkańców Kętrzyna i okolic. Uroczystość wigilijną uświetnił występ „Małolatów” ze Szkoły Podstawowej Nr 1.

Dużym osiągnięciem Stowarzyszenia im. Arno Holza była wystawa poświęcona mieszkańcom tych ziem pt. „Oni tu byli przed nami”, zrealizowana w ramach

projektu wspierającego zadanie publiczne, dofinansowana przez gminę miejską Kętrzyn. Wystawie towarzyszyły liczne spotkania z mieszkańcami przedwojennymi tych ziem, którzy po wojnie nie wyjechali do Niemiec. Z wielkim przejęciem, chętnie wypowiadali się na temat życia w dawnym Rastenburgu i okolicznych wsiach. Ich szczere wypowiedzi dały nam możliwość opublikowania dwujęzycznej książki wspomnieniowej „Oni byli tu przed nami / Sie Waren Hier vor Uns”.

Rok 2011 upływał pod znakiem spotkań z pierwszymi powojennymi mieszkańcami Kętrzyna. Spotkania zakończyły się publikacją serii artykułów w „Gazecie Kętrzyńskiej”, dotyczyły one wspomnień z pierwszych dni przyjazdu do Kętrzyna. Wiele wzruszeń i też dostarczyło spotkanie mieszkańców Kętrzyna, przyjezdnych z dalekiej Syberii, które odbyło się pod hasłem „Odpowiedź na list z dalekiej Syberii”.

W związku z obchodami Dni Europy wspólnie z gminą miejską Kętrzyn Stowarzyszenie zorganizowało wykłady z prof. Helmutem Wagnerem z Wolnego Uniwersytetu w Berlinie na temat „Czy członkostwo w Unii Europejskiej jest w interesie Polski” oraz z prof. Jerzym Holzerem z Uniwersytetu Warszawskiego, który wygłosił referat pt. „Stosunki Polski z sąsiadami”. Wysoką frekwencją cieszyły się również wykłady prof. dr. hab. Helmuta Wagnera pt. „Nasza ucieczka z Prus Wschodnich w 1945 roku” i dr. Dietmara Pertscha pt. „Pożar synagogi” wygłoszone podczas wmurowania pamiątkowej tablicy w miejscu, gdzie stała nowa synagoga w Kętrzynie.

Na wniosek Zarządu Stowarzyszenia im. Arno Holza Rada Miasta uchwaliła rok 2013 Rokiem Arno Holza. Z tej okazji odbyło się wiele imprez kulturalnych i literackich, które rozpoczął uroczysty wernisaż wystawy pt. „Arno Holz i jego działalność literacka”, poprzedzony wykładem Krzysztofa D. Szatravskiego pt. „*Fantasmus* Arno Holza wobec przełomu estetycznego”. Koncert kameralny z udziałem Marcina Jana Gałęckiego barwnie dopełnił inaugurację Roku Arno Holza. W 2013 roku z okazji 150. rocznicy urodzin patrona naszego stowarzyszenia wydaliśmy książki „*Fantazus* wersja z lat 1898-1899” w wersji dwujęzycznej, i w przekładzie Krzysztofa D. Szatravskiego, „Śmierć” Arno Holza i Schlaffa w opracowaniu Jana Pardy, a także „Arno Holz i jego dzieło” w opracowaniu Krzysztofa Szatravskiego, będący zbiorem wykładów z sympozjum, które odbyło się w dniach 26-27 kwietnia 2013 r. w sali rycerskiej kętrzyńskiego zamku. W dniu rocznicy urodzin Arno Holza nadano tytuły



W siedzibie Stowarzyszenia odbyła się konferencja naukowa poświęcona twórczości Arno Holza — występuje K. Szatrawski, fot. Wojciech Caruk

Honorowego Obywatela Miasta Kętrzyna pani Gertrudzie Liman oraz prof. dr. hab. Helmutowi Wagnerowi. W tym dniu również zarząd Stowarzyszenia Arno Holza nadał tytuł Zasłużonego Członka Stowarzyszenia prof. dr. hab. Helmutowi Wagnerowi.

W dniach 26-27 kwietnia 2013 r. odbyło się międzynarodowe sympozjum naukowe z udziałem ambasadora Niemiec Rudigera Freiherra V. Fritscha. Wykłady wygłosili: prof. dr. hab. Helmut Scheuer, prof. dr. hab. Zbigniew Chojnowski, dr Ditmar Pertsch, dr Jens Stüben i dr Krzysztof D. Szatrawski.

W latach 2013-2015 Stowarzyszenie prowadziło kursy nauki języków obcych — niemieckiego, rosyjskiego, angielskiego i hiszpańskiego, finansowane przez gminę miejską Kętrzyn. Obecnie wspólnie ze Stowarzyszeniem Mniejszości Niemieckiej prowadzimy naukę języka niemieckiego finansowaną przez Konsulat Niemiec. Od 2016 roku Stowarzyszenie prowadzi polsko-niemiecką wymianę młodzieży między Zespołem Szkół im. Wojciecha Kętrzyńskiego a Gimnazjum w Wesel. Nasze Stowarzyszenie w ramach statutowej działalności prowadzi szeroką współpracę z wieloma stowarzyszeniami, między innymi ze Stowarzyszeniem „Blusztyn”, Stowarzyszeniem Niemiecko-Polskim w Hamburgu i Berlinie oraz ze wszystkimi stowarzyszeniami kętrzyńskimi.

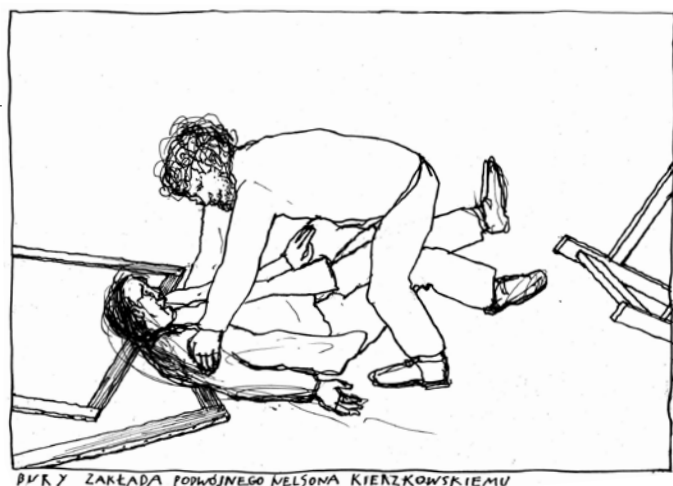
W 2013 roku na walnym zebraniu członków Stowarzyszenia im. Arno

Holza podjęto uchwałę o nadaniu tytułu Honorowego Członka Stowarzyszenia prof. dr. hab. Krzysztofowi D. Szatrawskiemu. Również, na wniosek naszego Stowarzyszenia, 28 marca 2018 roku Rada Miasta nadała tytuł Honorowego Obywatela Kętrzyna prof. dr. hab. Krzysztofowi D. Szatrawskiemu.

Uchwałą Rady Miasta Kętrzyn rok 2018 ustanowiony został Rokiem Wojciecha Kętrzyńskiego. Stowarzyszenie im Arno Holza aktywnie uczestniczy w jego obchodach, organizując liczne imprezy. Zorganizowaliśmy między innymi wystawę reprodukcji zdjęć i druków z życia i działalności patrona miasta pod tytułem „Wojciech Kętrzyński i jego dzieła”, ogłosiliśmy i przeprowadziliśmy konkurs inscenizacji wierszy W. Kętrzyńskiego pt. „Kwiecień miesiącem Wojciecha Kętrzyńskiego” na poziomie przedszkoli, szkół podstawowych, gimnazjów i szkół średnich. Konkurs cieszył się wielkim powodzeniem, udział wzięło ponad 100 uczestników. Stowarzyszenie brało też aktywny udział w uroczystościach miejskich, takich jak: konferencja popularno-naukowa „Wojciech Kętrzyński i jego czasy”, było zaangażowane w organizację i przeprowadzenie konkursu na ławeczkę z Wojciechem Kętrzyńskim oraz w odsłonięciu na eksponowanym Placu Józefa Piłsudskiego pamiątkowej ławeczki Wojciecha Kętrzyńskiego z udziałem jego prawnuczki Katarzyny Kętrzyńskiej i wielu zaproszonych gości.

MAREK BARAŃSKI

Niść Ariadny, czyli kłębki Jałowca



Rys. Kazimierz Jałowczyk

Artyści olsztyńscy: Tadeusz Burniewicz „Bury” i Wiesław Wachowski są bohaterami książek rysunkowych, których autorem jest Kazimierz Jałowczyk ze Słupska, kolega ze studiów, zwany przez nich Jałowcem. Książki Jałowca rozpowszechniane są wśród znajomych w wersji cyfrowej.

„Kazik rysuje z pamięci postaci i twarze. Mam wrażenie, że to jest rodzaj filmu, który zapisał się wiele lat temu w jego głowie” — mówi Bury. Według niego Jałowiec bada, czym jest pamięć. Dokumentuje też epokę.

Pytam Burego, czy jest coś, w czym Jałowiec się myli?

„W jednym szczególnie. Nie założyłem Bronisławowi Kierzkowskiemu (profesor malarstwa na UMK) podwójnego nelsona, tylko suples”. Bury cztery lata trenował zapasy w Klubie Sportowym Energetyk w Poznaniu. „Byłem niesamowicie wysportowany” — wspomina.

O książki Jałowca pytam też Wiesława Wachowskiego.

„Nic złego nie powiem, skoro Kazik tyle pamięta! Tyle wydobywa... Zawsze był w różnych miejscach...”. Proszę o komentarz do rysunku z *Kłębków*: w drodze na zajęcia Wiesiek nie sie na ramionach swojego kolegę Mariusza. Wiesiek wyjaśnia, że było na odwrót: to on „był niesiony” przez Mariusza, ale w sensie symbolicznym. Tak tłumaczy Jałowczyk: „Wydaje mi się, że to ja w listach do Kazika użyłem tego sformułowania »niesienie«. Chodziło o to, że Mariusz latem 1973 roku przyjechał do mnie do domu, do Żelwag, i towarzyszył mi przy pisaniu pracy magisterskiej. Czyli »doność« mnie do samej mety, do dyplomu”.

I zaraz dodaje: „Drugim człowiekiem, który mnie »poniósł« był Bury. Dzięki niemu trafiłem z Żelwag do Olsztyna”.

Wiesiek obiecuje sobie, że wydrukuje książki Jałowca na drukarce. „By w każdej chwili wyjąć w autobusie, poczytać i pooglądać, a nie siedzieć przed komputerem”.

Pierwszy tom cyklu Jałowczyka to *Niść Ariadny*. Dwa następne tomy to: *Drugi Kłębek* i *Trzeci Kłębek*. Prezentował je na 70-lecie Wydziału Sztuk Pięknych UMK na wystawie w Galerii 9,39 w Zakładzie Rysunku.

Jałowczyk tłumaczy mi, że „chciał zobrazować epokę, która należy do przeszłości”. W komentarzu do *Trzeciego kłębka* pisze o czasie studiów: „Życie ludzkie było przewidywalne, pozbawione złudzeń. Stąd wielki wysiłek bohaterów i pomysłowość w niegodzeniu się z rzeczywistością. Ograniczenia były przygnębiające, więc należało je pokonywać z wyobraźnią i wdziękiem”. Ograniczenia choćby takie jak konieczność... strzyżenia z początkiem października włosów odrośniętych po wakacjach, bo rozpoczynały się zajęcia w Studium

Wojskowym. Studenci zrobili potajemne postrzyżyny pod pomnikiem Kopernika. Zamierzali nawet sprzedać obcięte pukle, ale nie znaleźli perukarza.

Epoka odslania się w historii z „krokodylem” z 1971 roku.

Na słabo uczęszczanej drodze pojawia się trabant. Kazik na widok auta z plastiku krzyczy z zachwytem: „O, mydelniczka”. Trabant zatrzymuje się. Z jego wnętrza wyłania się... „krokodyl” i rusza z tępych narzędziem na Kazika. Na szczęście Monika zachowuje się jak lwica. Wystarczyło jedno warknięcie i ludojad wycofuje się do swojej kryjówki. „Byłem ocalony” — kończy Kazik opis rysunku pt. „Mydelniczka”.

Kazimierz Jałowczyk dokumentuje modę i kulturę studencką na początku lat 70. XX wieku. Łza kręci się w oku na wspomnienie, ile wtedy studenci czytali. Pewnego dnia kolega Jałowca wyjął z torby gruby tom w błękitnej obwolutie i z przejęciem powiedział: „*Ullises Joyce’a*, kupiłem spod lady...”. Wiesiek Wachowski i jego kolega Mariusz Głazowski studiowali *Pejzaż semiotyczny* Umberto Eco bardzo metodycznie: „pół strony lektury — pół godziny dyskusji”.

Jałowczyk pewnego dnia kupił niedużą książeczkę Jorge Luisa Borgesa *Alef*, potem *Fikcje*, a na koniec *Twórcę*. Do tej pory nie rozstaje się z nimi.

Pytam autora, czy myśli o wersji „papierowej” wydawnictwa?

„Rozmawiamy o tym, że może warto opublikować w ograniczonym nakładzie, ale nie wybór, tylko trzyczęściową całość” — odpowiada.

Jałowiec i jego książki obrazowe

KAZIMIERZ JAŁOWCZYK, rocznik 1949, zwany przez kolegów Jałowcem, mieszka w Słupsku. W latach 1967–1973 studiował konserwację zabytków i grafikę warsztatową na Wydziale Sztuk Pięknych Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu. Na UMK obronił doktorat z malarstwa. Teraz jest dr habilitowanym specjalizacji grafika, pracuje w Instytucie Wzornictwa Politechniki Koszalińskiej. Prof. Witold Chmielewski z Wydziału Sztuk Pięknych UMK w Toruniu uważa, że książkom wspomnieniowym Kazimierza Jałowczyka najbliższe do „picture booków”, książek obrazowych, w których obrazy i teksty są ze sobą nierozzerwalnie powiązane i jednocześnie żyją własnym życiem. Bo nie jest to ani komiks, ani storyboard (scenopis obrazkowy do filmu) czy graphic novel (powieść graficzna), ani także klasyczny rysunek satyryczny. Nowatorstwem propozycji Jałowczyka jest zastosowanie podwójnej narracji — rysunku i tekstu autorskiego, które nawzajem się uzupełniają.

SŁAWOMIR PRABUCKI

Piosenki

PIES

Schowałem się za czarny pysk,
nos czujny na obcego zapach.
Tak mówiąc wprost, swój kiepski los
złożyłem w psich kosmatych łapach.

Dla innych salonowy sznyt
i miękkość młodych ciepłych piersi,
dla mnie perfumy zdechłych ryb
na brudnej i wilgotnej sierści.

Zwiedzimy śmietnik, obszczamy słup,
tak harujemy już od rana.
Sprzedać butelki da nam bóg,
będzie kielbasa do szampana.

I wspólny nas przechodzi dreszcz.
Tyłki przy piecu grzeją ludzie,
wokóło gęsty zimny deszcz,
a my marzymy o swej budzie.

Czasami ktoś dostanie w kły,
w pakiecie życia policzone,
na psie się goi jak na psie,
mnie boli serce podrapane.

Jednak o godność trzeba dbać
i choćby przyszło zdychać w rowie,
czasami chce się, kurwa mać,
wyszczekać komuś swą opowieść.

Więc czasem, kiedy przyjdzie noc
z polarną gwiazdą i księżycem,
odrzuć swój zapchlony koc
i słyszeć me przeciągłe wycie.

ZŁAMANY GROSZ

W kieszeni tak głębokiej jak jaskinia,
na kłębku kurzu spał złamany grosz.
Okruchy czerstwe były mu rodziną,
nauczycielem z siwej głowy włos.

A życie jak pijana serpentyna
do góry wzniesie, potem strąci w dół.
Zamietli zakurzoną pajęczynę,
rzucono groszem na kanciasty stół.

Zmieniały się saszetki i portfele.
Raz mokra łada, raz z hebanu błat.
I chociaż może znaczył niezbyt wiele,
to poznał grosik od podszewki świat.

Spywały po nim splendor i przekleństwo,
i głuchy był na schlebający głos.
Porażka i zwycięstwo — jedna klęska,
tak uczył kiedyś z siwej głowy włos.

Aż stanął kiedyś nad fontanną szczęścia,
błysnęło słońce na zmaconą toń.
W kropelkach śmiechu, gdzie się rodzi tęcza,
postała go dziecięca mała dłoń.

I poczuł nagle na co żyć mu przyszło,
i jak się mylił stary siwy włos.
Na dnie fontanny do dziś w słońcu błyszczy
wśród innych groszy połamany grosz.

SŁAWOMIR PRABUCKI — urodzony, jak uważa, nie w swoich czasach.
Wychowawca dzieci i młodzieży w Ameryce k. Olsztynka. Słucha bardów takich
jak K. Kryl, Cohen, Dylan.

